



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 4 lipca 1954 r.

Nr 27 (223) Rok V

ALEKSANDER RYMKIEWICZ

KRAJOBRAZY I LUDZIE

PYTASZ MNIE

Pytasz mnie, jakim pięknem zachwycony —
borów, rozlanych morzami gliwia,
jeziór, rzuconych jakby niebios tysiąc,
wschodów rumianych, co nad dębem wiszą,
obłoków, które dna jeziorne mierzają
i widać: w pustej głębi ziemi śnieg;
pytasz mnie, jakim pięknem zachwycony,
wiersz napisałem pierwszy o Mazurach.
O ty, pamiętny dniu przedwiośnia w chmurach,
gdy pustych, zimnych wsi nie strzegły wrony,
czymże ty mogłeś moje serce zbudzić,
chmurne przedwiośnie w nieznany odludziu?

Ziem innych pisarz, gdzie indziej zrodzony,
z mazurskiej wiosce czytałem poemat,
co dziejom wtórując ileż serc otwierał,
a tu bezsilny wśród was umierał,
bo krzywd niemieckiej wsi polskiej w nim ma.

I był w tym wszystkim fałsz jakiś jedynie,
jakby wołanie, rzucone w pustynię.

I z tego chłodu poznanych serc waszych,
z nieurodzaju, co wschodził na twarzach,
i z tego także przedwiośnia odłogów,
gdzie chłop przy wozie z dobytkiem szedł
dręga,

z tych obu pustyń, z tych obu pustyń
drażyło szeptem, wracało na usta,
to, co po serca znacznie pewniej sięga
niż ciemnych dębów nad jeziorem piękno.

PIOSENKA Z MORAŁEM

Przeszedł front i tabory,
błękitniejszą jeziora,
wszystkie wiją się pięknie,
kula serc ich nie sięgnie.
Ale ludzie, jak wszędzie,
serca mają śmiertelne:
leżą sztywni na łące,
wieś za nimi płonąca.
Oto ziemia otwarta,
czyjś dom z boku ocalał,
idą ludzie, ci z bliska,
ciągną ludzie, ci z dala

To on szeptał w pociągach
i oglądał, oglądał. —
Jeden lubi pejzaże,
drugi woli bagaże.
Starożytni Rzymianie
dobrze to zrozumieli,
że gdzie złodziej się zjawia,
patron ma być złodziei.
Ach, Merkury, Merkury,
sławny żyłką handlową,
ty byś też nie wytrzymał,
podróżował, szabrował.

Chłop powoli wyciąga
kosy, plugi i brony
i rozwija czerń roli,
na niej wadzą się wrony.
Pierwszy tartak obudzić —

ileż trudnych miesięcy,
nie Merkurych, przy pilach,
osmoliły się ręce.

Faz powiedział wybornie,
że się wzrusza historia
wówczas człowiek nieboże,
gdy z niej uszczknąć coś może.

On, miłośnik kultury,
kochał też miniatury,
bo ich nawet i dwieście
w walizeczce pomieści.
To on uznać za Niemców
chciałby wszystkich w miasteczku
i przesiedlić czym prędzej,
przetrzeć szafy, biureczka.
Potem zgłosić, przeprosić,
nagle krzyknąć: rodacy,
odzyskani, kochani,
rodak wszystko przebaczyć.
Ale tu nie pomogła
nawet i mitologia,
siadł za kraty i mury,
siadłby z nim i Merkury.

Ziemia, ziemia bolesna,
masz jeziora i lasy
i dom, który nie sponie,
bo to dom w sercach naszych.

ZAGŁU DALEKI

Zagłu daleki, zagłu słoneczny,
który na Śniardwach się schylasz,
miecz chmury ciemny, miecz chmury wietrzny
przeciął twe płótno przed chwilą.

Trzepoczesz zagłu, rwiesz się, uciekasz,
masz cieniem przebite skrzydło,
jakby cię przemoc ubiegłych wieków
tu na jeziorze dościga.

Lecz ludzkim sercom wzbijać się, lecieć,
z każdego dna, z każdej kłęski,
nad mlecz, jarzmo, gromy na świecie. —
Lénisz znowu zagłu zwycięski.



ZAMEK W LIDZBARKU

Czymże jesteście dawne dzieje,
czy ornamentem wzgórz jedynie?
Mur stoi — czasem będziemy spłynię,
mur stoi — śniegiem osiwieje,
mur stoi — zielen tylokrrotnie,

mur stoi — słońce sławny złotnik,
mistrz luków, kolumn u podcieni,
roboty swojej nie przerywa
choć wkoło ciągle nowe żniwa
i mrą i wstają pokolenia.

Zamku lidzbarski, pędzel ciebie
werniej pochwyli, film powtórzy
z fosami w trawach, z murem w niebie,
ze szczelinami okien w górze,
z szarym kamieniem schodów startych
iluż wiekami, jakąż wartą.
Przekażą twe architektury
jak gdyby szkic martwej natury.

Tyś dla mnie żywy. — Oto w ciszę
twych sal chłop wiedzie spod Ejszyszek
i mową bliską mi, przeciągłą
wyjaśnia coś, gdy strop ogładam
I nie wie prostak, że ożywia
herby biskupów i nazwiska,
bo skądże Warmia i Ejszyski
tutaj spotkały się szczęśliwie?



I nagle widać wszystko w skrócie,
jakby ktoś pieśń rozstania nucił
sobie, młodości i słowikom
w ejszyskich gajach nad strumykiem,
tak nucił, szeptał, o coś pytał,
nie dostrzegł, kiedy coś powitał,
czyż wolną serca miał polowę,
że mógł pokochać gaje nowe,
kamień omszały, ostre wieże —
czy ludzkie serce się poszerza?

Gdzież są fiolety, brzoza olany,
kłęznie kute i dywany?
Wysoką ścianą pustej sali
imiona zdobią do tej pory —
ciąg polskich nazwisk po rozbiory,
sam, przewodniku, czytaj dalej,
rumieniec na twej twarzy skądże,
gdy widzisz rody pruskich książąt?
Czy wzrusza ciebie kto tu władał —
nie tu pańszczyzna twych pradziadów.
Skądże w dalekie panów spory,
i to nie w jakichś stronach lidzkich,
wznosisz rumieniec swój prostaczki?
O, któż granicę tę wyznaczy,
za którą wielki pan Krasicki,
choćby bywał pruskim dworów,
bliski ci, miły przewodniku,
a wrogi każdy z Fryderyków.

Żegnaj mi, gniazdo dawnej władzy,
i ty, co po nim oprowadzasz,
nie wiedząc, że gmach jednocześnie
ty, prosty człowiek, uwspółcześniaś.

DĄBROWA

Ach, pisałem ach, nuciłem
sobie od początku
poematy wyśnione
z jednego wątku:

wieś rodzinna i brzeźniaki
skośnie tnie śnieżycą.
Nie dostrzegłem, gdy zarosła
ścieżki me stolicą.

Ach, szeptałem, aby zwrócić
czyimś oczom ciepło,
nie poczułem, kiedy z piersi
serce mi uciekło.

Ach, mądrzałem, potężniałem,
by uderzyć słowem —
i umilkłem — mały człowiek
w mazurskiej dąbrowie.

JESIENNY KRAJOBRAZ

Do wierszy mych nie szukam wcale
tematów w bibliotecznej sali,
ani w rocznicach wielkich dni.
Warmia. Złamany herb na bramie,
nie lubi grafów, kto herb łamie,
graf też nie lubił bliskiej wsi.

Inni koledzy, chwilo wstydu,
awansoweli na Norwidów —
dzisiaj na pomnik ciosaj głaz.
A mnie przelotne z kimś rozmowy,
chłopskie furmanki, młyn parowy,
nikt nie zna mnie, ja nie znam was.

Cóż — błoto, słoma w nim szeleści,
w wierszu i słoma się ponieści
i wróbił wrzask przed młynem tym.
Warmińska jesień, chłód niestety,
i bądź tu mądry tak jak Goethe,
gdy ziębnie nawet rażny rym.

Z Warszawy tutaj, rzeczywiście,
żeby choć wiersz ozdobić liściem,
a liści nie ma — ściał je szron.
Spokojnie jakoś i rozległe
i tylko serce biegnie, biegnie,
chcesz pytać — dokąd, pytać — skąd?

I nie zaciemnia ziemi piękna,
to, że gdzieś chciwa łapa sięga
po świeży druk zaborczych map,
bo nie jednemu mnie się zdarza
kochać te właśnie krajobrazy,
o których myśli obcy sztab.



Rys. Danuta Konwicka

TADEUSZ BOROWSKI

Opowiadanie o telegramie



3 lipca mijają trzy lata od śmierci Tadeusza Borowskiego, niezapomnianego przyjaciela, pisarza, działacza.

Naszym czytelnikom pragniemy zakomunikować, iż staraniem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się w sierpniu br. „Utwory zebrane” Tadeusza Borowskiego, obejmujące w pięciu tomach niemalże całość dorobku pisarskiego autora „Dnia na harmon-

zach” i „Czerwonego ma-
ja”. Wydanie to przyniesie
sporo nieogłoszonych poe-
zji i satyr, jakie Borowski
pisywał do końca życia,
gromadził całokształt do-
robku prozatorskiego, w
którym znajdują czytelnicy
utwory mało lub w ogóle
nieznane, dale fascynują-
cy przegląd pracy kroni-
karza i publicysty „Nowej
Kultury”, obok prozaika,
poety, publicysty pokaże
nam Borowskiego — kry-
tyka.

Nieznana nowela Borow-
skiego, którą wyjmujemy z
V tomu prozy „Utworów
zebranych”, jest beletry-
zacją zdarzenia autentycz-
nego — przyznania nagro-
dy Nobla uczonemu japoń-
skiemu. Występuje w niej
również inna postać —
czytelnicy — prof. Oppen-
heimer, „ojciec bomby a-
tomowej”. Od czasu, gdy
Borowski pisał swoją no-
welę — tj. od roku 1949 —
sytuacja polityczna tego
uczonego, zaufanego
współpracownika prof. Ein-
steina, uległa zmianie. W
wyniku zastrzeżeń moral-
nych, jakie Oppenheimer
wyraził po ostatniej eks-
plozji bomby wodorowej,
został on odsunięty od
wpływu na „trust atomo-
wy”. Sprawa Oppenheime-
ra stała się przedmiotem
rozgrzewki między szarpią-
cymi się wzajemnie frak-
cjami politycznymi, w ra-
mach amerykańskiego ka-
pitalizmu. Jest ona także
dowodem wzrastającej pa-
niki i zastraszającej się
kontroli policyjnej. Fakty te
stanowią ciekawe uzupeł-
nienie obrazu inferna mo-
ralnego, w jakim trawił się
opisany sugestywnie przez
Borowskiego hipokrytycz-
ny świat nauki zachodniej.

T a opowiadanie jest praw-
dziwa, bohater jej żyje i
dobrze mu się powodzi.
Młodość miał pogodną i
płodną w czyny; wiek mę-
ski obudził w nim wielkie
nadzieje i przyniósł jeszcze
rozwinięcia; mądra dojrzałość
wróciła mu szczęście. Los jego po-
dobny jest do losów jego ojczyzny
sprzedanej przez władców zagra-
nicznym handlarzom. Nasz boha-
ter wprawdzie z całego serca nie-
nawidził handlarzy, ale rozważ-
szy rzecz rozumem przemógł się i
sprzedał im swe usługi. Wyrzekłszy
się ojczyzny, stał się obywatelem ich
kraju. Tak oto dzieje się najlepiej
na tym najlepszym ze światów —
kapitalizm; ale zaczniemy opowia-
dać.

Jak wiadomo z gazet, nagrodę
Nobla w dziedzinie fizyki w roku
1949 otrzymał Japończyk Hideki
Yukawa, profesor nadzwyczajny na
uniwersytecie Columbia w Stanach
Zjednoczonych, którego rektorem w
owym czasie był osławiony generał
Eisenhower. Profesor Hideki Yuka-
wa był znakomitą fizyką atomo-
wym i należał do zespołu móz-
gów amerykańskiego koncernu ato-
mowego. Uroczystość wręczenia dy-
plomu nagrody oraz czeku opiewa-
jącego na trzydzieści tysięcy dola-
rów, czyli sto milionów jen, odby-
ła się w filharmonii w Sztokholmie,
gdzie zgromadził się cały tzw.
„świat naukowy”, miejscowy i za-
graniczny. Po przemówieniu następ-

cy tronu — Gustawa Adolfa
Szwedzkiego, zaproszono gości na
bankiet do salonów królewskich.
Profesor Hideki Yukawa miał zaszczyt
towarzyszyć do stołu żonę na-
stępcy tronu, księżkę Bertil Szwedz-
ki zaś prowadził jego małżonkę, u-
braną we wzorzyste kimono. Na
bankiecie wygłoszono wiele mów
pochwalnych, posypały się wspom-
nienia i radosne toasty. Tego dnia
reporter wielkiej amerykańskiej
spółki prasowej obsługującej dzie-
siątki tysięcy pism kapitalistycz-
nych na całym świecie podał ob-
szerne sprawozdanie z uroczystości,
fotograficze rozesłały pliki zdjęć,
Fox i Paramount nakręciły kilome-
try taśmy filmowej, a rzeczoznawca
naukowy tygodnika „Newsweek”
nakreślił — jak to mówią — syl-
wetkę laureata. Doradca naukowy
„Newsweeku” pisał: „Profesor dok-
tor Hideki Yukawa ma czterdzieści
dwa lata. Zbudowany jest zgrabnie,
porusza się lekko i z wdzię-
kiem, uważa siebie za niezupełnie
praktycznego człowieka. Zaintere-
sowania dla fizyki wzbudziły się
w nim podczas czyszczenia probów-
wek i lejków w laboratorium che-
micznym. Profesor Yukawa stwo-
rzył ciekawą metodę pracy nauko-
wej, podobną do natchnienia poety-
ckiego. Mianowicie, w ciągu dnia
profesor Yukawa przeprowadza je-
dyndie skomplikowane i żmudne
obliczenia matematyczne; na swoje
znakomite pomysły i hipotezy nau-
kowe zaś wpada zazwyczaj p-dczas
godzin porannych, kołysząc się mię-
(Dokończenie na str. 2)



Rys. Tadeusz Kulisiewicz

(Patrz str. 3)

Opowiadanka o telegramie

(Dokończenie ze str. 1)

dzy snem a jawą przy boku swej młodej i uroczej żony, równie zgrabnej, lekko zbudowanej i wdzięcznej, a ponadto zajmującej się gospodarstwem domowym. Jak opowiadał przyjaciele domu, szczególnie smakuje im zaparzana przez nią herbata."

III

Zdarzyło się przed kilku laty, jesienią 1945 roku, że profesor Hideki Yukawa obudził się nieco wcześniej niż zwykle i zaczął „rozmyślać”. Słońce, czerwone, zimne, owiane mgłą, pędziło przez niebieskie zastłony; w ogródku rozbrzmiewał słodki śpiew ptaków. Z ulicy dochodziły dalekie odgłosy budzącego się dnia: okrzyki gazetarzy, brzęk tramwajów, szurkot wozów i głuchy, jednostajny chrobot aut ciągnących z portu. Profesor zmrużył oczy; zamiast drzeworytu mistrza Hokusai, wiszącego na ścianie między oknami, widział ciężarówkę pełną tłustych, młodych chłopców, żołnierzy amerykańskich. Japonia skapitulowała; warunki zawieszenia broni nakazywały armii japońskiej dostarczyć do portów dostateczną ilość aut z szoferami i wyprowadzić koszary dla wojsk okupacyjnych. Warunki te spełniono bez szemrania: Armia Radziecka rozgromiła wojska Kwantungu, zajęła Mandżurię i posuwała się w głąb Korei; cesarz się bał, a wraz z nim bali się samurajowie i bankierzy. Kolysząc się między snem a jawą profesor Yukawa rozmyślał intensywnie. Dotykał w półśnie nowych idei i pomysłów, nieskrepowany, wypoczęty i rozleniwiony bawił się nimi jak ciałem swej uroczej żony, przed zacięciem porannej zimnej kąpieli puszczał wodze fantazji, rachował się z przeciwnikami, zdumiewał przeszłości, budował plany, których część urzeczywistniał w pracy naukowej za dnia. Pewnego dnia wyskoczył nagle z łóżka wprost od żony, która świetnie zaparzała herbatę, profesor Hideki Yukawa sprzecywał teorię mezonu. Nie warto podawać szczegółów teorii Yukawy, można je znaleźć w każdym podręczniku fizyki atomowej. Powiedmy tylko, że obliczenia japońskich asystentów profesora i jego przyjaciół z Ameryki, z którymi wspólnie opracowywał problem rozbicia atomu na wielką skalę — potwierdziły jego przypuszczenia, a obserwacje nad promieniami kosmicznymi potwierdziły doświadczalnie istnienie nowej cząsteczki.

„Lecz mimo wszystko — uprzedził mnie!” — pomyślał z goryczą profesor Yukawa. W tych dniach kapitulacji, powszechnego zwątpienia i apatii, daremnej nienawiści ku Amerykanom i bezsilnej miłości dla cesarza, profesor Yukawa świecił przykładem stoicyzmu i oświeconości: był oddanym kolegą, sumiennym wykładowcą, wyrozumiałym przełożonym, lojalnym gospodarzem, ale w godzinach porannej go zamyslenia opanowywała go trudna do zwiolenia wściekłość.

Przecież tyle lat pomagał im w pracy! Uwierz, że nauka jest ponadnarodowa, ludzka! Był wiernym członkiem klubu profesorów! Tyle własnego trudu zagrzebał w ich sprawie! Gazety wrzeszczą, że oni pchnęli naukę o stulecia naprzód. Tak, ale czy im nie pomagał? Chciał wydrzeć im ich tajemnice, ale okazał się chytliwszy, przemądrzalszy i go i upokorzyli. Kazali mu oprowadzać po zakładzie nieopierzonego szczeniaka, zwykłego porucznika wywiadu amerykańskiego, i oddać mu najtajniejsze papiery. Musiał patrzeć beznamiętnie, jak dzieło jego młodości, wieloletni cyklotron, maszynę do badań atomu, rozbierają na części, tą acetylenem brudni Murzyni z kompanii pracy, ładują na ciężarówki i wywożą do portu.

„Czy mój amerykański przyjaciel nie sądzi, że szkoda topić to cenne narzędzie naukowe w morzu?” — spytał wtedy profesor Hideki Yukawa.

„Ladnie mi narzędzie naukowe! — roześmiał się młody Amerykanin — które miało zrzucać bomby atomowe na głowy naszych matek i dzieci. Moja matka mieszka nad Pacyfikiem; skóra mi cierpnie na myśl, że mogłaby pewnego dnia wyparować w powietrze jak szklanka herbaty wystawiona na słońce. Moja narzeczona pojechała na Hawaje; czy ma umierać w bólach, żarzona promieniami radioaktywnymi? Chwała Jehowie, że nie zdążył się wyprodukować tego świństwa!” „A gdybyś mi zdążył?” — zapytał z ciekawością profesor Yukawa. „Byłby pan sądzony jako zbrodniarz wojenny” — odparł sucho porucznik.

Profesor Yukawa skrzyżował ręce na piersiach i uklonił się uprzejmie.

IV

Leżąc w półśnie przy boku uroczej żony profesor Hideki Yukawa wrzał ze złości. Przed kilku tygodniami, jeszcze przed kapitulacją, wizytował wraz z asystentami Hirosimę i Nagasaki. Ujrawszy zniszczenia, zwiedziwszy szpitale, przeprowadziwszy fachowe badania zrozumiał, że cała jego przygotowawcza robota poszła na marne. Na próżno przez długie lata odmawiał sobie snu i żałował czasu na jedzenia, próżno oszczędzał na odpoczynku i rozrywkach, nie zasnął domu rodzinnego. Niepotrzebnie wychowywał sztab następców, walczył z biurokratami o setki budynków na laboratoria. Bili się o surowce, inżynierów, techników, kredyty, na próżno przydzielano mu tysiące robotników, dano do dyspozycji całe gałęzie przemysłu — zawiódł oczekiwania.

Wziął senną żonę w ramiona.

nia cesarza, nadzieje wodzów, zażalenie armii i kapitału. Za oknem spalił szurający miarowo ciężarówkami, wylły klasykowne jeepów policji wojskowej, słychać było pokrzykiwania amerykańskich podoficerów, a profesor Yukawa rozmawiał z sobą nocne natoloty na Tokio, gdy niebo płoło jak samo dno piekła, a z ziemi podnosiły się purpurowe słupy dymu; rozpalający i gorzko drwił ze swych nadziei. Na parterowe domki robotników i dzielnice ubogich handlarzy spływały się wtedy bomby fosforowe jak jadowite zmięje. Do schronu jego podmiejskiej willi, ukrytej w bujnie rozrośniętym ogródku, dochodziło z miasta rechotanie artylerii i głuche plaśnięcia bomb, od których chwiały się fundamenty domu, jakby ziemia była z kauczuku. „Zbyt wiele hałasu!” — śmiał się w duchu profesor Yukawa i pieścił tajemnie inny obraz natoloty. Oto samotny, zwiadowczy samolot japoński pojawia się jak co dzień nad wybrzeżem Pacyfiku, krąży srebrny, prawie niewidoczny wysoko na pogodnym niebie Los Angeles lub San Francisco; „fotografuje port!” — mówią marynarze i martwią się na myśl o lodziach podwodnych, które on naprowadzi, gdy wyruszą na wyprawę konwojem; „czemu go nie strąca?” — denerwują się mieszkańcy, podrażnieni, ale spokojni. Często siedzi w schronach, częściej gapi się na niebo, praca idzie normalnym trybem, dzieci uczą się w szkołach, bawią się w ogródkach jordanowskich, zakochani siedzą na tarasach kawiarni i piją zimne limonady, gońcy rozwożą pocztę, businesmeni zamawiają międzymiastowe rozmowy, fachowcy uznają fachowo, że dla jednego zwiadowcy nie warto zarządzać powszechnego alarmu. Wystarczy trochę postrzelać z artylerii nad portem, wysłać parę pocisków; konwój, który wyjedzie z portu, da sobie radę z lodziami podwodnymi. Wtem na pogodnym niebie rozkłada białe, srebrne, migotliwy spadochron, kołysze się, opada łagodnie niżej i niżej, samolot odlatuje w stronę morza, zmiata bawią się w ogródkach, żołnierze ewakuują na placach, dzwonią telefony, zakochani piją limonadę, buchalterzy siedzą nad księgami zysków i strat; i nagle — bomba atomowa, wynaleziona i zbudowana przez profesora Hideki Yukawa, wybuchła nad lekkomyślnym miastem, rozkłada ogromnym grzybem i trującą chmurą opada na domy, ulice, ogrody.

Profesor Hideki Yukawa oglądał więc zniszczenia Hirosimy i Nagasaki i pot obrzydzenia i nienawiści występował mu na czoło. Ukradł mu nawet jego marzenia! Amerykański samolot zwiadowczy ukazał się nad miastem akurat wtedy, gdy dzieci wyszły na pierwszą pauzę bawić się w ogródkach i na boiskach, gdy buchalterzy otwierali księgi strat i zysków, gdy żołnierze ćwiczyli w garnizonie, gdy gońcy roznosili listy. Dla jednego zwiadowcy, uznał generałowie japońscy, nie warto robić powszechnego alarmu i zapędzać ludzi pod ziemię. Postrzelano trochę z artylerii, z podmiejskich lotnisk wystartowało kilka pocisków. Gapię ujrżeli na niebie srebrny spadochron, który łagodnie opadał coraz niżej, potem rozjaśniło im się w oczach, a potem zdumiewał ich żar. Kogo dotknęły radioaktywne promienie, ten oślepił, przeżył, przepalony piekielnym gorącym korałem w męczarniach, krwawił, prosił wody, wzywał boskiego miłosierdzia, przeklinał zabójców; kto pozostał w schronie, ten ginął później w płomieniach, w dymie, pod gruzami walących się kamienic, szukając krewnych, przyjaciół, znajomych, których pożarła bomba.

Komisja, która oprowadzała profesora, gorliwie objaśniała mu stan zniszczeń miasta, pokazywała mu zdjeżdżającą ulicę, po których stapał wśród ruin, ale profesor nie interesował się dokumentacją przygotowaną przez asystentów; wciąż widział przed oczyma swój ulubiony obraz, namalowany cudzymi rękami. Dzieci w kołysce, które nigdy nie dotknęły stopami ziemi, uczniowie, którzy uczyli się miłości do cesarza i tabliczkę mnożenia jako nie naruszalnych i ostatecznych prawd; studenci, co głodując marzyli o wielkiej, wspaniałej karierze naukowej; dziewczęta, które dopiero co zaznały kochanków i rozgrzane uściskami przemikały się ulicą do domu; generałowie i więźniowie, fabrykanci i żebracy, szczęśliwi i nieśczęśliwi — wszyscy i wszystko: ludzie, zwierzęta, drzewa i domy wzbijają się piorunem parą w powietrze i zawiśają nad ziemią jak baldachim nad tronem mikada. Ogromny wiatr przewiewa nad miastem, zmywa wszystko, co stoi na drodze, przepala wnętrze człowieka aż po najdalsze pokolenie. I jak fala bez śladu topi marzenia profesora: miedź i mangan, kauczuk i cukier, nafta i tkaniny, tanich robotników i urodzajną glebę, wielkość narodu i boskość cesarza. Znowu przyjdą lata, gdy miska ryzy będzie pożywnością inteligenta, prostytutka awansem dla dziewczyny a służenie białym handlarzom — obroną kultury, cywilizacji i religii; bankierze szacunkiem dla szogunów, zniewolone profesorów, podniosą głowę brudni marynarze, śmieszni tkaćcy, dychawiczy rybakarze; wyjdzie z więzienia komunista Tokuda, który przez piętnaście lat nie chciał uznać boskości cesarza, i będzie przewodził tłumom. Na tę myśl profesor Hideki Yukawa otrząsnął z marzeń; „cieszymy się życiem, póki jest!” — pomyślał, odwrócił się

V

„Ciekawym — myślał sobie potem mruczając przy słońcu, które zajaśniało pełnym blaskiem na skłonie nieba i rozświetlało ogród — kto był autorem tego diabelskiego wynalazku? Może sam Einstein, szlachetny, zagubiony samotnik, zamknięty na cztery spusty w gabinecie, wykorzystywany przez mądrych prowokatorów z «uniwersytetów» amerykańskich? Może stary Niels Bohr z dawniej, mieszczańskie generacji uczonych, uprawiających naukę dla samej nauki? Nie troszcząc się o jej konsekwencje? Może Lise Meitner, która uciekla przed piecem krematorium do Danii, a stamtąd przekradła się do Ameryki i pomogła sporządzić inny piec? Napisała niedawno strasznie zabawny artykuł o atomie do liberalnego pisma emigracji niemieckiej; tam, gdzie mówi o dziejach badania atomu, jest normalnym człowiekiem, ale gdy dochodzi do nieszczęsnego zbiegu okoliczności, który spowodował, że odkrycie rozbicia atomu przypało na gwałtowne lata wojny i stał uczeni złączyli swe wysiłki dla konstrukcji bomby atomowej, a nie dla budowania pokojowego stosu — zamiast ziemi zaczyna chodzić po suficie. Jak gdyby pokój nie był dla tamtych formą wojny! A nasz dobry kolega Oppenheimer? Profesor Yukawa współpracował z nim kilka lat, dążył go zaufaniem i przyjaźnią. Wróciwszy do Japonii na wezwanie ce-

sarza i zabrawszy się do własnych doświadczeń, jego obawiał się najbardziej. W barwnym miesięczniku, który przeglądał wieczorem, znalazł profesor Yukawa jego artykuł pod tytułem *Ja się boję*. „Ależ on utył!” — pomyślał profesor i z uśmiechem przyglądał się podobieństwu swego dawnego przyjaciela. Rozprawka Oppenheimera mówiła o skutkach bomby atomowej dla cywilizacji ludzkiej i niedwuznacznie wskazywała, kto jest jej posiadaczem i jaki stawia wymagania. „Wszemchny Bóg dał nam straszliwe narzędzie, atrybut swej władzy nad ludem grzeszno i upadku, nad skażonym plemieniem ludzkim; posłannictwem naszego narodu, wybranego przez Niego, jest zaprowadzić na ziemi pokój i zacząć budować na ziemi królestwo niebieskie — rekoma narodów pod naszym kierownictwem — pisał tamten. — Boję się, że ludzkość tego nie zrozumie, grzech nie pozwoli jej wznieść się na wyżyny zrozumienia tej prawdy; o, biada wtedy ludzkości!”

Nagle profesor Yukawa usiadł na łóżku i odrzucił okrycie. „Muszę wysłać do niego telegram!” — zawołał głośno, roześmiał się wesoło do zdumionej żony obudzonej jego okrzykiem i wyskoczył rażno z łóżka, jakby miał lat dwadzieścia.

Wpadł na wspaniały pomysł, godny porannej godziny rozmyślań.

VI

Cztery lata później, wchodząc do salonów króla szwedzkiego, profesor

Hideki Yukawa uśmiechał się uprzejmie i triumfująco; zasługi jego nagrodzono nad miarę. Ścisłał dłoń europejskich kolegow, ze wzruszeniem witał przyjaciół amerykańskich. Kiedy goście zasiadli za stołem, gdy zabrzęczały widelce i noże, gdy przyszła chwila toastów, profesor Oppenheimer dźwignął się ciężko z krzesła, poprosił o ciszę i wygłosił następujące przemówienie: „Pozwólcie mi, drodzy przyjaciele, wznieść toast za długie i pożyteczne życie mego przyjaciela i kolegi profesora Hideki Yukawa z Columbia University, laureata Nagrody Nobla! (Okłaski, śmiechy, szmer). Pracowaliśmy wspólnie przez wiele lat, dokonaliśmy niemało odkryć, odsłoniłmy czasik tajemnicy natury. Taki jest zwykły tryb pracy naukowej: wydzień przyrodzie tajemnicę i przysypać ją kurzem w bibliotece uniwersyteckiej. (Śmiechy). Kogóż bowiem obchodzi zażywać taką małą rzecz jak atom? Kartofle — to co innego, rzecz większa i praktyczna! (Wielki śmiech). Ale przyszła wojna i mały atom okazał swą wielkość. Wprawdzie los nas rozdzielił, profesorze Yukawa, ale po obu stronach wielkiej kałuży (śmiech, okłaski) budowaliśmy to samo dzieło, myśląc z trwogą, ale i z dumą prawdziwych uczonych: kto z nas będzie pierwszy? Profesor Yukawa rozwinął formułę bomby atomowej, ale nie jego wina, że produkcja mu się nie udała. Gdy okazało się, że Amerykanie są lepsi,

nie pozwolił się unieść zawodowej zazdrości ani nie poddal się goryczy. Kiedy się wojna skończyła, myślałem wiele o moim przyjacielu z Tokio; mówiono mi wiele o jego laboratoriach, bolałem nad losem jego cyklotronu, podziwiałem jego prace, które mi natychmiast dostarczone; czekałem z niecierpliwością, kiedy zaczniemy ze sobą korespondować. Jakże wielką była moja radość, gdy pierwszego dnia po otwarciu ruchu telegraficznego między Stanami Zjednoczonymi a Japonią otrzymałem od profesora Yukawy depeszę: „Gratuluję ci, dokonałeś swego!” (Okłaski. Profesor Oppenheimer po chwili milczenia) — Oto mamy przed sobą prawdziwego uczonego, któremu jedynie dobro nauki, a nie pożytek jakiegokolwiek kraju, grupy społecznej czy korporacji przemysłowej leży na sercu. Toteż niezmiernie się cieszę, że profesor Yukawa zechciał od razu po wojnie znowu pracować z nami, że osiedlił się w Ameryce, podjął wykłady uniwersyteckie i pracuje nad ulepszeniem broni atomowej. Profesorze Yukawa, stary chłopie (old boy), dokona pan jeszcze wielu dzieł, i dziś, gdy otrzymuje pan od wdzięcznej ludzkości nagrodę Nobla, wyrażam panu życzenie, aby po długich i płodnych pracach ludzkość wysłała do pana taki sam telegram jak ten, który od pana otrzymałem; „Gratuluję ci, dokonałeś swego!”

Tadeusz Borowski

MARIA KURECKA

Ludzie księżek

Ludzie księżek to nie bohaterowie powieści. To ludzie pracą i zainteresowaniami związani z książką: księgarze, kolporterzy zakładów, korespondenci terenowi, bibliotekarze, pracownicy aparatu upowszechnienia czytelnictwa.

Znalazłszy się w Zielonej Górze, spotkałam kilku z nich. I o tych właśnie spotkaniach chcę pisać.

DOMU KSIĄŻKI GOSPODARZE

W Zielonej Górze jest kilka księgarń. Największa — przy ul. Żeromskiego. Kierownik tej zasobnej

ukowymi, których wiejski czytelnik nie rozumie. Poza tym — brak ilustracji. To duży błąd. Rysunek, fotografia zawsze jaśniejsze tłumaczą treść nawet ludziom nie obeznanym z terminologią fachową. Do rozmowy przylgają się dwaj sprzedawcy z sąsiednich działów. Jeden z nich podsuwa mi „Piękne dziełnice” Aragona:

— Proszę spojrzeć na tę książkę. Widzę szpetną obwolutę, w której kolor żgniołzielony rywalizuje niefortunnie z czarnym i pomarańczowym i — nie wiem o co chodzi. Księgarz uśmiecha się, zdejmując papier i pokazuje gładką, ciemno-ziel-

żek jest więc ciekawe i przyjemne. Następnie natomiast... Ale wszystko po kolei.

O „MASOWYM CZYTELNIKU”

Naczelny redaktor „Gazety Zielonogórskiej” zupełnie poważnie usiłował mnie przekonać, że ilekroć miejscowa prasa opublikuje choć jeden wiersz — zmniejsza się nakład gazety. W imię sprawiedliwości trzeba dodać, że mimo tego niebezpieczeństwa, w „Gazecie” pojawiają się od czasu do czasu wiersze. Lecz nie w tym sedno sprawy. Tkwi ono gdzie indziej: w pokutującej

wodami zielonogórskiego redaktora porucam go na pastwę tej stwory. Wyruszą na spotkanie prawdziwych czytelników i znajdują ich bardzo blisko.

W redakcji „Gazety Zielonogórskiej” skończył się właśnie kurs da terenowych korespondentów. Nie wielu ich już na sali. Zbierają się do odjazdu. Z chwilą jednak, gdy zaczynamy rozmowę o książkach atmosfera się ożywia. Na pierwszy ogień idzie, oczywiście, literatura fachowa.

— Katalogi techniczne, cenniki — ze świecą tego trzeba szukać — narzeka tramwajarz z Gorzowa.

— A co mówią w księgarniach, w bibliotekach?

— W księgarniach przeważnie mówią, że nie ma i nie wiadomo kiedy będzie. A w biblioteczce — jak kto ma szczęście i złapie, to trzyma. Nawet karę płaci, a trzyma.

— Nam, korespondentom potrzebne jeszcze inne książki — wracają młody robotnik z fabryki sprzętu rolniczego w Sulęcinie — tabele podatków od wynagrodzeń, skrowid przepisów prawnych. Ludzie przychodzą ze skargami: o nie przyznany urlop, wstrzymane zasiłek chorobowy i różne takie rzeczy. A nie mogą sprawdzić, ani ludziom wytłumaczyć, ani do gazety listu nie wysłać.

Bakam coś o tym, że Rada Zakładowa powinna... Ale młodzieńcze przerywa energicznie: — Co tam Rada. Rada nie raz trzyma taką książkę w szufladzie i na złość zarzucić nie da. A czasem to właśnie Radę albo i dyrekcję trzeba piorem „stuknąć”.

Czarniawą, chudy robotnik z browaru mówi o Zoli. Czytał niedawno „Germinal”. Podobał mu się. — Mocna książka — mówi — życiowa. Inni ulubieni autorzy? Nazwiska i tytuły spływają na pohybel wdmu teoretycznego „masowego czytelnika”: Szolochow, Broniewski, Orzeszkowa, Gorki, Ostrowski, Krzewski, Bek, Nikrasow, Newerly, Nexo.

Dyskutujemy nad „Pellem—Zwykłym”, wspólnie wspominamy ze śmiechem pyszne przygody popularnego wojaka Szejka. — Jakież więc jest naprawdę ów masowy czytelnik, dzisiejszy odbiorca literatury? — Chłonnym, ciekawym, często o niewykrytych literaturach poglądach i upodobaniach, niedoświadczonego, a chciwy wiedzy, o różnych, krańcowo nieraz różnych potrzebach i gustach. — Czego szuka w książce, czego od niej żąda? — Pomocy w pracy (a czasem i we własnym życiu), wiedzy, wiadomości z różnych dziedzin, odpoczynku, zabawy — a przede wszystkim **prawdy, piękna i radości**.

Redaktor „Gazety Zielonogórskiej”, który uroczyście przemówieniem zdążył pożegnać korespondentów, nie asystuje już przy naszych rozmowach. Cóż — szkoda. Wielka szkoda.

ZWICHNIĘTE PROPOZCJE

Cyfy, które podaje samodzielną referat bibliotek przy Woj. RN w Zielonej Górze są istotnie imponujące. Do IV etapu konkursu czytelniczego przystąpiło przeszło 14.000 osób. Doświadczenie uczy jednak nie dozwierzać zbyt samemu cyfry. Właśnie w referacie zjawia się delegat Centralnej Rady Czytelnictwa (inspekcja z Warszawy); zbiera dane z terenu i zadaje wiele pytań. Jako milczący świadek tej inwigilacji siedzę w kącie, pilnie nastawiając uszu.

O biurokracji, plągu niezwalczona! Padają słowa, od których na miłe zalatuje woń specyficznego kurzu, grubą warstwą okrywającą

(Dokończenie na str. 7)

ANATOL STERN

PO KIERMASZU

Kasztany pochylone i zdziczały jaśmin Zaglądajcie ciekawie do książek, w słowniki. O, kiermaszu braterstwa! Święto wyobraźni... Z słowikami przestają już walczyć głosiłki. Wóz porwya geniuszów, zwalonych w koszyki. (Nawet Marks opowiadał swoim wnuczkom baśni).

I kiedy już uciechła barwna zawierucha Rozkwieconych sprzedawczyń, strojnieszyszy okładek, Gdy tłumy odplynęły aut i książek śladem — Nagle wiatr, który sunął w leciutkich podmuchach, Ujrzał grupkę niezwykłą. Podpłynął, podsuchał: Hrabia to był, Don Kichot, Faust i Andrzej Radek.

Przyglądali się sobie uważnie spod oka. Ze to ogród Armidy — pewien był Don Kichot. Faust przebiegał palcami w odmłodzonych łokach. (Był smutny. Zawsze słyszał jego dziki chichot). — Toż to Łazienki... Kłnę się na Birbante-Rokka! — Rzekł Hrabia do Andrzeja. Ale ten stał cicho.

Potem ruszyli zwolna. Szli ścieżką ogrodu Naprzeciw parnym lipom i nocnym kasztanom. Przed nimi stał łwin błado tafla ołowiana. Od bżów szedł cierpki zapach, od lip — zapach miodu. Hrabia mruknął: „Byłem tu... Raz jeden. Za miodu.” Faust patrzył zamysłony, a Radek przyszanął.

Faust marzył: z srebrnych cieni wyjdzie zaraz Gretchen. Młodziczka nimfę ujrzał miast niej — i satyrą, Co chwytał drżący marmur z okrutnym uśmiechem. To był on. Poznał twarzę swę zgorzkniały wyraz. Ta gorycz w jego rysach odbiła się echem. Obok stała Puzja. Grała niema lira.

placówki, Bogaczyk, pracuje w swym zawodzie od przeszło dwudziestu lat.

— Ruch u nas stale we wszystkich działach — opowiada. — Ale klienteli, oczywiście, rozmaici. Z każdym trzeba inaczej. Ot, na przykład przyszedł tydzień temu starszy człowiek. Chłop. Prosi o „Stara baśń”, którą zobaczył na wystawie. Dla syna.

— A syn ile ma lat?

— Osiem.

Widzę, że sprawa skomplikowana. Ale pierwsza zasada: nie urazić, nie spłoszyć klienta. Przyniosłem „Stara baśń”, a przy okazji kilka innych powieści Krassowskiego. Obejrzał, porozmawiał, wyjaśnił mi nieporozumienie. W rezultacie kupił chłopakowi „Leśną opowieść”, a „Stara baśń” wziął dla siebie. Wczoraj znowu zajął po książkę. Rozczyta się — to pewne.

Przystajemy przy różnych działach, lecz dopiero obok półek z literaturą techniczną i fachową stary księgarz rozwija pełną elokwencję: — Nie wystarczy powtarzać, że ciagle za mało książek z tej dziedziny, a zapotrzebowania rosną. Są jeszcze inne trudności. Na przykład: książki o rolnictwie, naszpikowane zawiłymi nazwami i terminami na-

loną okładkę o wyraźnie wypisanym tytule.

— Sprzedajemy teraz bez obwo-luty. Idzie doskonale. A przedtem nikt nawet patrzeć nie chciał. „Takie to pomazane” — mówili klienteli. Obwoluta, czcionka, sposób drukowania — to wszystko ważne. Od gęsto nabitych szpalt bez „świątła” ludzie się odwracają. „Oczu — mówią — szkoda na takie czytanie”.

Pląga, na którą zgodnie użalają się księgarze (przypuszczalnie nie tylko zielonogórscy) jest zbyt wcześnie zapowiadanie w prasie nowości wydawniczych. Klienteli, powołując się na ogłoszenia, uparcie żądają książek, które nie wyszły jeszcze z drukarni. Lecz obok utyskiwania słyszę też projekty racjonalizatorskie. O potrzebie zapowiadania w prasie i w radio nie tylko literat-czy, lecz także naukowych, fachowych nowości (z podaniem wydawnictwa i przypuszczalnego terminu ukazania się książki w sprzedaży). O konieczności nawiązania ściślejszego kontaktu stałej, obustronnej wymiany doświadczeń, co pomogłoby zarówno w ustalaniu nakładów jak zamówień księgarskich, wprowadzając logiczny ład w sprawy dystrybucji i upowszechnienia książki.

Pierwsze spotkanie z ludźmi ksią-

jeszcze tu i ówdzie ponure i szkodliwe teorii o tzw. „masowym czytelniku”, której niesposób zwalczyć w pojedynczej dyspacie.

Ów teoretyczny „masowy czytelnik” (czasami: „masowy odbiorca”) — twór całkowicie abstrakcyjny — da się scharakteryzować w kilku słowach. Z natury beznadziejnie głupi i niezdolny do myślenia, nigdy własnowolnie nie sięga po gazetę lub książkę. Trzeba mu je więc „podsuwać”. A strawa duchowa dla tego rozpaczliwego tepaka zawierając może jedynie slogany i schematy — inne nie znosi. Należy więc podsuwać mu co dzień (o samo, z możliwością uwzględnienia niewielkich jedynie wariantów). Żadnego nowatorstwa, żadnych po-dejrzanych wychyleń w kierunku innego niż dotychczas potraktowania tematów, żadnych prób odmiennego wyrażania tego, co już wielokroć i na wiele (podobnych) sposobów było powiedziane i napisane.

Zrodzony z biurokracji redaktorów oderwanych od rzeczywistości — a więc i od potrzeb swych żywych czytelników — teoretyczny „maso-” — uparcie usiłowania zwalczania kulturalnego, szlampsy i nudy. Cóż dziwnego, że — nieprzekonana wy-

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

LUDWIK HIERONIM MORSTIN:



Zaproszenie do wzięcia udziału w ankiecie ogłoszonej przez redakcję „Nowej Kultury” jest powodem do krytycznej oceny własnej twórczości w okresie ostatniego dziesięciolecia w związku z zagadnieniami naszego pisarstwa w obecnej chwili.

Najłatwiejszą jest samokrytyka; ona budzi sympatie czytelników dla autora, dla jego skromności i trzeźwego sądu o samym sobie. Trudniejszą pozytywna ocena osiągnięć, wykazanie wielkich trudności, jakie pisarz musiał pokonać, walki, jakie musiał staczać z nieufnością czytelników miarodajnych i walki ze samym sobą, by w epoce przełomowej stanąć w szeregu tych, którzy tworzą Sztukę Polską, a chcą, żeby była godną i wielkich swoich tradycji i rosnącej w oczach rzeczywistości. Dopiero samokrytyka połączona z właściwą pozytywną oceną dorobku duchowego, tak na odcinku indywidualnej pracy, jak i ogólnej twórczości epoki, którą przeżywamy, daje pełny i niesfałszowany obraz drogi przebytej od czasu Wyzwolenia po dzień dzisiejszy.

Należą do pisarzy pokolenia, które w chwili powstania Polski Ludowej miało już za sobą trud kształtowania się indywidualności twórczej.

Nowe czasy, nowe idee, nowe hasła, nowe kierunki w Sztuce, rozszerzenie zasięgu działalności pisarza w związku z upowszechnieniem kultury, nowy widz w teatrze, nowy czytelnik z książką w ręku — wszystko to wymaga od autora starszego pokolenia, który chce być dalej wystawianym, drukowanym, czytany, wielkich zmagania i pokonania oporów wewnętrznych. Wielką jest też dla niego pokusa powiedzieć sobie: niech to robią młodzi ode mnie. Jest ich tylu utalentowanych bezspornie, którzy — jeżeli jeszcze nie osiągnęli wiele — obiecują wiele. A ja już nie mogę się nakłonić do nowych wymagań

i zejść z dawnej pozycji nie potrafię. Wielka jest pokusa złamać pióro i chodząc w podziwie dla nieugiętości charakteru, co okazał się niezdołnym do wyrzeczeń pewnych wartości zdobytych znoją pracą całego życia, do naginania się do nowych stosunków, w jakich musi tworzyć. — Ale to są podszepty złego ducha. Bo który z artystów na przestrzeni dziejów mógł powiedzieć, że za jego życia nie zaszły takie zmiany społeczne, polityczne i ekonomiczne, by nie zmuszały go do zmiany przekonań i oblicza duchowego. Mówi się, że epoka, w której żyjemy — epoka dziejowych przemian ogarniających cały świat — nie jest łatwa. Ale która epoka w dziejach ludzkości była łatwa, w której rewolucyjne wstrząsy nie targły sumieniami ludzkimi zastanawiającymi się poważnie nad układem zewnętrznej rzeczywistości, szukającymi tego najgłębszego nurtu, który ją w przyszłość unosi? Z drugiej strony zawsze narzekania na współczesność w związku z jakimś mglistym poprzednim ideałem, a niedoświadczenie usprawiedliwienie w piętrzących się trudnościach i przeszkodach. Rezygnować z udziału w tworzeniu się tej literatury, co ma świadczyć o prawdziwej bieżącej historii pod pozorem, że nie ma się entuzjazmu młodości, że nie czuje się koło siebie atmosfery zaufania — to znaczy skazać się na emigrację wewnętrzną. A ona, jak każda emigracja, czyni człowieka zrozpaczonego, nieszcześliwym, skłóconym ze światem rozbitkiem.

Słyszysz się ciągle zawodzenia i żale, że literatura i teatr nie nadążają za rzeczywistością, że nie oddają patosu dziejowych przemian. Ośmieliłbym się powiedzieć, że utyskiwania te są niepotrzebne, a w żadnym razie nie dadzą rezultatu. Wielkość Sztuki i wielkość przemian dziejowych — to wartości niewspółmierne i nie dające się ze sobą porównać i do siebie przymierzać. Wielka Sztuka to produkt — jeżeli nie geniuszu — to wielkiego talentu. A i geniusze i wielkie talenty zjawiają się rzadko. I dobrze, że tak jest. Stąd ten wstrząs, który wywołują swoim zjawieniem, jako rzecz niecodzienna i niezwykła; Trzeba mieć więcej cierpliwości, bo nie wiemy, czy już nie żyje wśród nas i nie przygotowuje się do czynu wielki talent, co stworzy arcydzieło godne wielkości czasów, które przeżywamy. Można tylko starać się o to, by stworzyć takie warunki, w których ten wielki talent będzie miał możliwość przejścia do głosu i swobodnej, nieskrępowanej niczym wypowiedzi. Tak, ale nie można tylko czekać. Nowemu odbiorcy dzieła sztuki, tym masom ludowym spragnionym wzruszeń, trzeba dać też wzruszenia w książce, albo w przedstawieniu teatralnym.

Stąd troska naszych mężów stanu zrozumiała i chwalebna, stąd żądanie od pisarzy, by dawali z siebie jak największy wysiłek, by w miarę możliwości i siły ich talentu dawali najlepszą żywą produkcję literacką, która tego nowego widza może interesować i ideowo umacniać, okazując mu wartość jego pracy i twórczego wysiłku całego narodu.

Równocześnie opinia mówi o ponurym impasie naszych sztuk społecznych i szuka przyczyn tego zjawiska. Oczywiście są przyczyny, ale nielato je wykryć i usunąć. Najpierw trzeba rozszerzyć pojęcia współczesności, nie ograniczać ich do schematu w wyborze tematu. Czy np. „Pan Tadeusz” Mickiewicza nie był dla ludzi żyjących po roku 1831 utworem współczesnym, choć akcja tej epopei kończy się w roku 1812-tym? Czy nie można nazwać sztuką współczesną sztuki, która w temacie historycznym dostrzega i ujawnia te idee, które stworzyły obecną epokę. Może się tak zdarzyć, że redaktorzy i dyrektorzy teatru zasugerowani postulatami wyrażonymi przez czynników miarodajnych, odrzucają jakąś bardzo wartościową sztukę, bo będzie się im wydawać, że nie spełnia żadnych warunków. A nie trzeba myśleć, że wszyscy są ludźmi bardzo inteligentnymi. Z drugiej strony, ci sami redaktorzy i dyrektorzy teatru rzucają się na utwór o tematyce społecznej, nie patrząc na jego jakość. I stąd załudniło scenę tyle postaci szesześciu papierem, urodzonych w kalużach atramentu. W czasie Wielkiej Rewolucji francuskiej aktualność polityczna zawiadniała sceną. Liczba sztuk przedstawiających wypadki historyczne tych czasów jest ogromna. Zacytujmy tylko kilka tytułów: „Wolność zdobyta, czyli despotyzm obalony” (La liberté conquise ou le despotisme renversé), „Zdobycie Bastilii” (La prise de la Bastille), „Obalenie Lille” (Le siege de Lille), „Zniszczenie królestwa” (La Royauté abolie), „Kolacja Jakobińców” (Le souper des Jacobins), „Ustanowienie Republiki” (L'Inauguration de la République) itd. Goncourtowie w „Histoire de la société française pendant la Revolution” wliczają tych sztuk kilkadziesiąt. Co zostało z nich w literaturze francuskiej? Lecz, jak słusznie zauważył Borowy, trud ich autorów nie poszedł na marne. Bo znaczna część późniejszego teatru romantycznego, to teatr współczesny — społeczny. Zrozumiano, że współczesna historia jest historią. Prosper Merimee pierwszy wypowiedział tę zasadę jako bojowa, którą później — w innej formie — powtórzył Mickiewicz pytając: „Wiele lat trzeba czekać nim się przedmiot świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?” I napisał „Dziady”. Ale był genialnym poetą. Nie byli wielkimi dramaturgami autorzy aktualno — politycznych

wodewiłów z okresu Wielkiej Rewolucji francuskiej. O jejym należało pamiętać: twórczość artysty nie znosi pośpiechu. Wszystkie konkursy zamknięte, czy otwarte dlatego nie mogą dać rezultatu, że określają termin skończenia pracy. Dzieło na termin ukończone zwykle jest nieskończone a więc przez to dalekie od doskonałości. Pośpiech jest największym wrogiem dzieła dokonanego przez artystę. Prozaik, poeta, dramaturg patrząc się na otaczającą go rzeczywistość potrzebuje długich godzin rozmyślań, by nieskoordynowane wrażenia uporządkować, by w chaosie wydarzeń znaleźć los na miarę człowieka. Musi zrozumieć jakim prawom poddany jest ten świat, który zapomocą zmysłów dochodzi do jego świadomości. I nie dość tego — musi znaleźć formę wypowiedzenia osobistą, niepowtarzalną i niepowtarzającą. Kto pierwszy porównał kobietę z kwiatem był genialnym, jak mówi znany aksjonomat, ten kto to robi po raz setny, jest cymbałem. Ten cały proces wymaga spokoju i czasu, raz jeszcze czasu.

Wiem z doświadczenia, że na napisanie dobrej sztuki teatralnej, czy to będzie dramat, czy komedia — rok czasu to zwykle za mało. A jeżeli się ją prędzej napisze, trzeba wrócić do niej na parę miesięcy, gdy ochłodnie gorączka tworzenia, spojrzeć krytycznie i zacząć błędy poprawiać. To poprawianie sztuki, choćby chodziło o małe szczegóły, to praca wymagająca większego czasu wysiłku niż napisanie. Jak i z tego wniosek? Trzeba stworzyć pisarom warunki takie, by mogli pisać bez pośpiechu. Goniąc za nowościami u redaktorów wydawnictw i dyrektorów teatru jest bardzo niebezpieczne. W ostatnim dziesięcioleciu powstało wiele utworów, które — choć nie są arcydziełami — są przecież pozycjami nie do pogardzenia. Dlaczego nie robić nowych wydań, jeśli to są powieści, dlaczego je spychać ze sceny, jeżeli są to utwory dramatyczne. By zrobić miejsce mniej wartościowym? Wątpliwa z tego korzyść.

Przy tak zwanych zamówieniach społecznych sądzę, że należy zerwać z systemem żądania od twórcy przedłożenia dokładnego konceptu, czyli planu utworu, który ma napisać. Taki plan zatwierdzony krepuje swobodę tworzenia. „Am Ende hängen wir doch ab von Kreaturen die wir machen”, powiedział Goethe w 2 części „Fausta”. W rezultacie zalezy od własnych kreacji. I to jest prawda. Z chwilą, gdy się postać stworzyło, żyje ona własnym swoim życiem, zmusza nie raz autora do napisania takiej, a nie innej sceny, której nie mógł przewidzieć. Bo ona już ma swój charakter, ustunkowuje się w pewien sposób do otoczenia, ma swój

(Dokończenie na str. 7)

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK:



Nigdy nie byłem poetą „samotnikiem”, ani też tak zwanym „czystym lirycznym”, na jakiego pasowali mnie niektórzy nasi krytycy. Choć od roku 1936 drukowałem moje wiersze tylko w prasie lewicowej: w „Obliczu dnia”, w „Lewarzu”, w „Dzienniku Popularnym”, w „Sygnale”, w „Szpile” i w pismach nielegalnych, to przed tym w okresie dwudziestolecia międzywojennego nie raz błądziłem, jak wielu innych moich kolegów po piórze. Lecz pomimo to już wtedy rozumiałem, a raczej odczuwałem, jak szereg innych poetów, że najbardziej nawet kameleonalna lirka, nie zrodzona z miłości do prostego człowieka i z nieważności do jego ciemności, jest tylko czczą igraszką słowną. Toteż już w najwcześniejszych młodzieńczych moich wierszach obok akcentu czysto lirycznego pobrzmiewał akcent buntu przeciwko wyzyskowi ludzkiej pracy.

Dziesięć ostatnich lat naszego kraju przeżyłem jak drugą młodość. Wiersze, które napisałem w tym okresie mogły udać się lub nie, mogły być gorsze albo lepsze, ale z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że nigdy nie kłamałem w nich zapалу i radości dla wielkich poczynącej naszej ojczyzny, ani też gniewu dla rodzimych i obcych wsteczników, usiłujących spługować i zniszczyć to wszystko, co jest dla nas najdroższe.

Hitlerizm i faszyzm wszelkiej maści dał mi wiele gorzkich doświadczeń i otworzył mi oczy na wiele spraw ludzkich, a tym samym i na sprawę poezji. Zimny i szorstki wiersz operujący choćby najbardziej wyszukany i nieoczekiwanym obrazowaniem, a zrodzony nietylko przez pęd do śmiechu i odkrywcęgo poszukiwania tak zwanej „nowości”, a raczej nowinkarstwa za wszelką cenę, jest dla mnie tak samo nieznośny jak „kierkowo — tradycyjny” wiersz, gląd

ki i pozbawiony wyrazu. Chodzi o to, że prawdziwego ognia poetyckiego nie można skłamać ani przez nadmierne wyrafowanie stylu, ani też przez robioną na gwałt „prostotę” i „naiwność poetycką”. Ogień jest ogniem i moim zdaniem nawet najmniej przygotowany do lektury poetyckiej czytelnik zawsze go wyczuje, bo czytelnik ten ma jedną wielką zaletę: żąda od poezji niekłamanej uczucia, prawdziwej miłości, szczerzego gniewu i nie byle jakiej myśli. Omyłka niektórych poetów polega na tym, że arystokratycznie gardzą tak zwanym „masowym czytelnikiem”, podczas gdy ten czytelnik nieraz bywa mądrzejszy i gorętszy od nich. Moim zdaniem ten „masowy czytelnik” nosi w sobie wielką poezję mas. Chwała temu pocię, który ją odczuje i odda w swoich utworach. Zapewne poeta tym będzie właśnie jeden z owych bezimiennych „czytelników masowych”.

Wiele u nas mówi się i pisze o schematyzmie i antyschematyzmie. Zauważyłem, że wynika z tego moc nieporozumień: niektórzy redaktorzy naszych pism gotowi są uważać każdy wiersz o Koro lub o Rosenberga, słowem każdy wiersz „okolicznościowy” za schematyczny, a każdy wiersz o miłości, o naturze i o doznaniach osobistych za nieschematyczny, co oczywiście jest nonsensem i, że tak powiem, nalożeniem do odbioru tak zwanej „czystej lirki”, która nie zawsze jest tak czysta jakby się to zdawało, i nie zawsze jest liryką w prawdziwym słowa tego znaczeniu, lecz tanga i bardziej konwencjonalne i schematyczne niż dobre wiersze o skromnych i spóźnieńskich. Prawdziwa poezja to pełnia. Nie ufam pocię, który nie łączy swojej lirki osobistej z najbardziej palącymi sprawami świata.

Moim zdaniem poezja naszego dziesięciolecia nie jest poezją zastęglą i pomimo wielu potknięć i błędów stale się rozwija. Świadczą o tym nowe poezje kilku naszych poetów starszego, średniego i najmłodszego pokolenia. Jedni z nich holdują tradycjom naszych wielkich romantyków, a tak zwani antytradycjonalisci (nie nie rodzi się z powietrza) — ulegają wpływom Rimbauda, Maxa Jacoba, lub Neruda, co również jest według mnie jakąś tradycją.

Na zakończenie dodam, że pragnąłbym, aby nasza poezja obok akcentów poważnych miała w sobie więcej humoru i satyry. Dla mnie oświeście pieśń bez uśmiechu jest tak samo pozbawiona prawdziwego humanizmu jak pieśń bez miłości i gniewu.

Nie ufam poezji, która nigdy nie uśmiechnie się chociażby przez łzy,

Włodzimierz Słobodnik

MAKSYM GORKI

Z niepublikowanych listów

W osiemnastą rocznicę śmierci Maksyma Gorkiego (18.VI moskiewska „Prawda” oraz „Literaturnaja gazeta” opublikowały listy autora „Matki” do szeregu radzieckich pisarzy i działaczy kulturalnych. Spośród publikowanych dzieł Gorkiego (do A. Szczerbakowa, M. Pogodina, L. Leonowa, Wsiewołoda Iwanowa, P. Pawleniwa, W. Grossmana, M. Nakoriakowa i J. Rybakowa) wszystkie niemal ogłoszone zostały drukiem po raz pierwszy.

Korespondencja Gorkiego stanowi niezwykle interesujący dokument dla badaczy literatury. Listów Gorkiego nie można traktować jedynie jako materiału dopełniającego biografię pisarza, wspomaganego roboczo hipotezami interpretatorów twórczości autora „Matki”. Nie są one zamkniętym komentarzem własnego życia. W listach znajdujemy rozważania na

tematy teoretyczne literatury, analizy i oceny wielu utworów, cenne rady i wskazówki praktyczne dla pisarzy wstępujących na ścieżki i drogi literackie. Gorkiego w nie wyczerpuje się tylko w płaszczyźnie historyczno-literackiej, posiada ona znaczenie szersze, gdyż myśli w niej podane również i dzisiaj służą pomocnie rozwojowi literatury.

Publikujemy tu w skrócie trzy listy, w których Gorki w zwięzłych uwagach wskazuje na pewne cechy charakterystyczne realizmu socjalistycznego (w liście do Aleksandra Szczerbakowa), dokonuje oceny na temat realizmu (w liście do Wasyla Grossmana) oraz próbuje dać wyjaśnienie niektórym „przyczyn” powstawania miedzy, schematycznej literatury (w liście do Wsiewołoda Iwanowa).

w społeczeństwie ludzkim — tarcia, zderzenia sił klasowych i procesy pracy skierowane są na stworzenie i rozszerzenie materialnej — burżuazyjnej, klasowo-egoistycznej — kultury. Fakty historii dowodzą, że intelekt grał w społeczeństwie burżuazyjnym rolę „katalizatora”, który — bardziej lub mniej skutecznie — dążył do związania, zespolenia, to jest pojednania, a w dziedzinie społecznej pojednanie jest podporządkowaniem się siły sile. Indywidualizm należy ukazywać to, iż w warunkach kapitalistycznych intelekt najmniej dba o szybkość własnego wzrostu, poszukuje natomiast tylko równowagi stałej.

Realizm literatury burżuazyjnej jest krytyczny, ale tylko o tyle, o ile krytyka ta jest konieczna dla „strategii” klasowej — dla ukazania błędów burżuazji w walce o zachowanie władzy. Realizm socjalistyczny skierowany jest na walkę z przetrzymkami „starego świata”, z jego zgubnym wpływem — na wykorzystanie tych wpływów. Ale główne jego zadanie sprowadza się do rozbudowania socjalistycznego, rewolucyjnego pojmowania i odczuwania świata.

Wydać mi się, iż myśli tego rodzaju mogłyby wzbudzić w środowisku literatów i krytyków sprzeciw, irytację i wywołać pożyteczną dyskusję. U nas literaci najmniej myślą i mówią właśnie na temat celów i zadań literatury — należy wobec tego spróbować rozbudzić

bardziej żywe i głębokie zainteresowanie dla sprawy, którą się zajmują.

W ogóle należałoby możliwie częściej i z większym uporem ukazywać pisarom rzecz następującą: przewidywania socjalizmu naukowego coraz szerzej i głębiej realizowane są przez działalność partii. Organizująca siła tych przewidywań leży w ich naukowości. Świat socjalizmu buduje się — świat burżuazji upada właśnie tak, jak to przewidywała myśl marksistowska.

Wynika stąd najzupełniej uprawniony wniosek, że myślenie obrazowe artysty oparte o szeroką znajomość rzeczywistości i dopełnione intuicyjnym dążeniem do nadania materiałowi formy najbardziej skończonej — do dopełnienia tego co dane tym co możliwe i upragnione — również jest w stanie „przewidywać”, to znaczy innymi słowy, że sztuka realizmu socjalistycznego ma prawo hiperbolizacji, „domysławiania”. Intuicji nie należy pojmować jako czegoś poprzedzającego poznania, jako czegoś „proroczego” — dopełnia ona doświadczenie w tych wypadkach, kiedy doświadczeniu organizowanemu jako hipoteza albo jako obraz brakuje jakichś ogniw, szczegółów. (...).

M. Gorki

Szczerbakow Aleksander Siergiejewicz (1901—1945), wybitny działacz Partii Komunistycznej, został na Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy (1934 r.) wybrany na sekretarza Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich, równocześnie z wyworem Gorkiego na przewodniczącego Zarządu.

Do Wasyla Grossmana

7 października 1932 r. Moskwa

Opowiadanie „Trzy śmierci” to rzecz blaha, powierzchowna. Wydaje mi się, iż stosunek emocjonalny do tematu „śmierci” znalazł w literaturze rosyjskiej doskonały wyraz — Lwa Tolstoj „Trzy śmierci”, „Śmierć Iwana Iljicza”, Czechow, Leonid Andrejew i inni — i, że jeżeli temat ów, nie mówiąc o jego aktualności, wciąż jeszcze godny jest uwagi, to należy go opracowywać pod innym kątem widzenia. Śmierć jest zjawiskiem bio-

logicznym i pisanie o niej bez znajomości biologii jest sprawą wątpliwą wartości. Pisać zaś tylko w tym celu, aby „człowiek zadumał się nad tym co nieuchronne” — to pustosłowie i teologia, — a to znaczy rzecz zdecydowanie szkodliwa.

„Glückauf” stanowi bardzo dobry materiał na opowieść ale jest źle „zmontowany”, gęsto przetkany zbędnymi słowami, zepsuty dydaktyką autora, który często tam gdzie należałoby posłużyć się obrazem, przełożył myśl na obraz, w sposób ciężki i suchy opowiada, poucza czytelnika. W ogóle, wydaje mi się, iż zdolność obrazowania autora jest niezbyt silna, nierozwinięta. Miejscami opowieści jest przybiera formę gazetowego reportażu.

Ja oświeście nie widzę w opowieści tendencji kontrewolucyjnych, ale czy takie tendencji w „naturalizmie” autora. Nie mogę nazwać naturalizmu, jako sposobu przedstawienia rzeczywistości, sposobem „kontrewolucyjnym”, ale przekonany jestem, iż ów sposób jest fałszywy, nieprzydatny w zastosowaniu do naszej rzeczywistości i wypaczający ją. Autor powiada: „Pisałem prawdę”. Powinien by on zadać sobie dwa pytania: pierwsze — jaką? drugie — w jakim celu? Jest rzeczą wiadomą, że istnieje dwie prawdy i że w świecie naszym przeważa ilościowo nikczemna i plugawa prawda przeszłości, ale zrodziła się i wzrasta inna prawda, która niesie jej śmierć. Nie pojmuję się nic, jeśli się nie widzi starcia, walki tych prawd. To jest też rzecz znana. Autor nienajgorzej widzi prawdę przeszłości, ale nie wie zupełnie jasno, co ma z nią czynić? Autor prawdziwie i z wyczuciem przedstawił tępotę górników, pijaństwo, bójkę i w ogóle wszystko, co najprawdopodobniej przeważa w jego autorskim polu widzenia. Oczywiście, jest to prawda niedobra, nawet bolesna i należy z nią walczyć, należy tępić ją bez litości. Czy autor stawia sobie taki cel?

Być może stawia on sobie taki cel, ale naturalizm jako metoda nie jest metodą walki z rzeczywistością, skazaną na zagładę. Naturalizm w sposób czysto techniczny rejestruje — „zafiksowuje” — fakty; naturalizm

jest rzemiosłem fotografów, a fotograf może odtworzyć np. tylko jeden, powiedzmy, smutny uśmiech na twarzy człowieka. Po to zaś, żeby ująć tę twarz w uśmiechu kpiącym lub też radosnym, musi on dokonać kolejno obu zdjęć. Wszystkie one będą w mniejszym lub większym stopniu „prawdą”, ale „prawdą” tylko tej chwili, kiedy człowiek przeżywał smutek, gniew lub radość. Ale prawdy o człowieku w całej jej złożoności fotograf i naturalista nie są w stanie ukazać.

W opowieści „Glückauf” materiał rządzi autorem, nie zaś autor materiałem. Autor rozpatruje fakty w ograniczonej płaszczyźnie samych faktów. Oczywiście, to jest również „pozycja”, ale zarówno sam autor, jak i materiał wygrałby, gdyby autor postawił by sobie pytanie: w jakim celu pisze? W imię jakiej prawdy? Zwykłością jakiej prawdy pragnie?

Jest człowiekiem zdolnym, a więc powinien te problemy rozstrzygnąć.

M. Gorki

Do Wsiewołoda Iwanowa

10 stycznia 1936, Tesseli

Drogi Wsiewołodzie Wszechzwiązkowiczu, w sprawie uwag Waszych dotyczących stosunku wydawnictwa „Sow. Pisatel” do autorów, proszę o zebranie dla mnie materiału dokumentacyjnego. Napiszę może artykuł o tyranii redaktorów, jak również o ich ograniczoności. Materiał mam, ale jeżeli Wy również go posiadacie — to go dawajcie.

Literatura „nienaturalna” jest oczywiście potrzebna. Przecież w istocie swej jest ona właśnie literaturą najbardziej popularną i najchętniej czytana, tą którą dla czytelników jest naucejścielem. Są pagórki i są góry, a na Kazbek lub na Elbrus nie każdy polezie, dlatego też rzetelny Zola był bardziej czytany niż Balzak, a kłiwie Daudet bardziej niż poważny Zola. Wszystko różnie, niestety, po linii najmniejszego oporu. W sposób najbardziej wiarygodny potwierdzają to korzenie drzew wyrosłych na skalnym podłożu. Podobnie i czytelnik zawsze wolął tę linię. Wolął, ale tak się złożyło, że wydaje się jakoby czy-

telnikowi naszemu zaczęła się podobać linia największego oporu. Teraz zada już on literaturę rzetelną.

Drogi mój Towarzyszu, bardzo wyraźnie odczuwam najzupełniej coraz bardziej widoczną różnicę między pisarzą i czytelnikiem. Mówię nie o formalnej wiedzy, w tej dziedzinie literat oczywiście jest bardziej „ocytany”, niż masowy czytelnik. Ale jest inna wiedza — emocjonalna wiedza ludzi, którzy czują się budowniczymi nowych warunków życia, twórcami nowej struktury państwowości. Całkiem prawdopodobne jest, że „stachanowcy” w swej większości mają bardzo kłopotliwą znajomość, jeżeli w ogóle ją mają — nauki Lenina, ideologii komunizmu, a w przemówieniach Stalina rozumieją z pewnością tylko praktyczną, rzeczową mądrość tych nadzwyczajnie prostych przemówień. Ideologicznie, tzn. ślaski logiki idei, nie są oni jeszcze zorganizowani, ale w swym stosunku do rzeczywistości, do życia są już ludźmi innymi, posiadając inne odczucia świata — odczuwają świat jako nieskończony szereg najprzeróżniejszych przedmiotów realnych, powstających dzięki ich własnej energii. Dlatego też żyją oni w świecie, który mają najzupełniejszą prawo nazywać swoim. U podstaw ich odczuwania świata leży emocja, poprzedzająca intelektualne rozumienie świata. Logika praktyki doprowadzi ich oczywiście do przyswojenia logiki idei, leżących o podstaw tejszej praktyki.

Literaci nasi są ludźmi mało lub w ogóle niedokształconymi emocjonalnie, nawet wówczas, kiedy czytali książki Lenina. Zaznajomieni są oni z ideami, ale idee są u nich zawieszane w próżni, nie posiadają podstawy emocjonalnej. Oto jaka, moim zdaniem, jest różnica między pisarzem a czytelnikiem naszych czasów. Tą też różnicą tłumaczę sobie wszystkie ułomności współczesnej literatury.

Na pytanie Wasze: „czy powinna istnieć zwyczajna, nienaturalna literatura?” — odpowiedź jest prosta — będzie istnieć, ale wiecie sami, że nie wszystko, co istnieje, powinno istnieć.

A. Pieszkow

Kilka cierpkich uwag

Najczęściej powtarzającym się słowem w naszej krytyce literackiej, w recenzjach i rozmowach o najnowszych naszych. Książkach jest słowo — przekonujący. Rzadko pojawiało się ono pod piórem burżuazyjnych literaturoznawców, nie używają go nawet krytycy marksistowsy, gdy omawiają dzieła realizmu krytycznego, romantycznego i innych (nie wiem ile tych realizmów dotychczas naliczono). Bo w gruncie rzeczy nikogo nie obchodzi i nie obchodzi, że ta lub inna sytuacja — „Dawida Copperfielda” jest niezupełnie przekonująca, że Madame Bovary jest przekonująca, a Ałosa Karamazow nie, czy na odwrót. Nikt się tym nigdy nie zajmował — i słusznie. Naomiat fakt, że to słowo tak natrętnie powtarza się w naszych rozważaniach o literaturze współczesnej — wydaje mi się — wyrazem innej, nowożytnej funkcji literatury realizmu socjalistycznego. Polegającej na tym, że nasza literatura współczesna jest w swym założeniu wielką literaturą polemiczną, literaturą o głębokim oddziaływaniu światopoglądowym, literaturą agitacyjną. Oczywiście agitacyjną w najpamiętniejszym, najdumniejszym rozumieniu tego słowa, nie zaś — jak to chcieli kiedyś niektórzy — propagującą kontraktację, siew krzyżowy i wzasy lecznicze. Tak wysoko pojętą rolę agitacyjną literatura nasza będzie mogła spełniać tylko wówczas, gdy nie będzie się uchylać od wielkiej polemiki ideologicznej. Bo zadaniem tej literatury jest nie tylko dostarczanie czytelnikowi wzruszeń i subtelnych wrażeń artystycznych (to niefrasobliwe tylko o nie oznacza bynajmniej iż sądzę, że te funkcje spełnia już ona z pełnym powodzeniem): musi go ona stać, codziennie, na nowo — p r z e k o n y w a ć do naszej sprawy, wskazywać mu co dzień coraz to nowe powody, dla których warto jest w takim trudzie budować socjalizm, dla których warto dawać z siebie tyle ile daje codziennie nasz naród — i więcej jeszcze...

Dlatego — takim obsesjonalnym uporem oddajemy wszystkim — pisarzom, krytycy, wydawcy, czytelnicy — przekonujący, przekonujący, przekonujący. Niestety, nie wiele z tego powtarzania wynika. Literatura nasza ciągle nie spełnia tej zaszczepnej, choć tak trudnej roli. Szukanie źródeł tej słabości, z której wszyscy zdajemy sobie sprawę, li tylko w jej niedostatkach artystycznych, wydaje mi się zwykłym mydleniem oczu. Zresztą — jak to z mydleniem oczu zazwyczaj bywa — świadomym i celowym.

Dyskusje — prasowe, „kulturalne” i kawiarniane — które rozwinęły się w środowiskach twórczych w XI sesji Rady Kultury i Sztuki wykazały niezbicie, że wielu ludzi tylko czekało na chwilę, gdy będziemy dokonywać takiego generalnego zwrócenia uwagi na kulturę, aby z cynicznym uśmiechem na twarzy i triumfalnym „a nie mówiliśmy?” na ustach przystąpić do grzebania przedwcześnie przez siebie ukatrujonego realizmu socjalistycznego.

Przypomina to trochę zabawne rojenia jednego z ekonomistów emigracyjnych, który wychodząc z założenia, że Polska jest krajem „naturalnie” rolniczym, „naturalną” bazą surowcową dla przemysłu zachodnio-europejskiego, głosił się kiedyś na łamach paryskiej „Kultury” nad trudnościami przywrócenia — oczywiście po „naszym powrocie do kraju” — „naturalnej” przemowy rolnictwa i zastanawiał się nad kłopotami, jakich przysporzy nowym „gospodarom” kraju istniejącej Nowej Huty, Włocławka, Kędzierzy, Dychowa, Huty im. Bolesława Bieruta itd. Co z tym zrobić? Zburzyć? Sprzedać Amerykanom? Wydzierżawić Anglikom? Ot, zmartwienie!

Porzućmy tę uciśną historię, póć to do jedynej przytoczonej, auy, rozweseliwszy czytelnika, jaskrawo mu jednocześnie uświadomić nieodwracalność procesów historycznych. Regula ta obowiązuje także w literaturze i równie jaskrawo można by jej dowiedzieć. Dlatego niezasadnym wydaje mi się nieco panikarski ton niepokoju o losy literatury realizmu socjalistycznego, pojawiający się w niektórych wypowiedziach po sesji Rady Kultury i Sztuki. Realizm socjalistyczny to nie wątpliwa roślina ciemniarska, na którą trzeba bać chuchać i dmuchać, którą łatwo podmuch nieprzychylny może zmrozić, ale — żeby już nie porzucać botaniki — drzewo mocne, rozłożyste, jak te, które sadzimy w Parku Kultury na Skarpie, drzewo, co już nie raz zakwitło i nie raz owocowało.

Nie trzeba się bać dyskusji nad owocami tego drzewa, choćby była ona najciekawszą, nie wolno bać bagatelizować żadnych zarzutów, choćby padały one z ust nam wrogich — wyjdź to może tylko na zdrowie i owocom, i ogrodnikom, i konsummentom. Nie bójmy się publicznego odsłaniania i omawiania wszystkich naszych błędów, niedostatków i słabości — to, że będziemy udawać, że ich nie ma, nie wypieni ich bynajmniej, a nie mówiąc o nich publicznie nie pozostawiamy ich roztrząsanie recenzji „warszawskiej”, plotce kawiarnianej, a wreszcie fałom zawodnego eteru.

Nie wolno nam tylko poddawać się mełnikom zabiegom mydlenia oczu. A — powtarzam — wydaje mi się mydleniem oczu doszukiwanie się źródeł wszystkich słabości naszej literatury w jej brakach ar-

tystycznych. Najczęściej bowiem te braki artystyczne są spowodowane inną przyczyną, główną i decydującą, która jest naturą i de o l o g i c z n e j. Chciałbym ją pokrótce scharakteryzować.

Otóż wydaje mi się, że klimat naszego życia kulturalnego nie sprzyja podejmowaniu wielkiej polemiki ideologicznej w twórczości literackiej. Czy to jeszcze jeden atak na „urzędników”? Nie. Klimatu tego urzędnicy i tzw. „politycy kultury” nie tworzą. Stworzyć go muszą sami twórcy. A do tego brak im jakoś dotychczas odwagi. Jak to — powiecie — więc nie ma u nas pisarzy odważnych? Nie. A Kuśmerek? Właśnie Kuśmerek. Porozmawiajmy trochę o Kuśmierku. To znakomity przykład oddziaływania tego klimatu.

Otóż Kuśmerek wydał trzy lata temu tom opowiadań pod tytułem „Uwaga człowiek!“. Młody pisarz z młodzieńczą, wybuchową pasją demaskatorską pisał w nich o wsi polskiej anno 1950, ujmował się za zwyczajną krzywdą ludzką, której

sprzymierzeńców w pracownikach aparatu państwowego mniej lub więcej świadomie działających na szkodę państwa, na szkodę socjalizmu. Uważać opowiadania Kuśmiera za społecznie szkodliwe mogli ten tylko, kto nie rozumie mechaniki oddziaływania dzieła literackiego, kto nie rozumie, że często obiektywna wymowa książki tkwi gdzieś poza nią samą. Tu — chociażby w fakcie jej wydania. Bo wszyscy się przecie zgodzimy, że draństwa, świństwa i zbrodnie podobne do opisanych przez Kuśmiera działy się, dzieją i dzieć się będą, bo dzieć się jeszcze muszą, bo przeżywamy rewolucję, a rewolucja w niczym nie przypomina spokojnej, statecznej gry starszych panów w domino, ale jest trudną i bezkompromisową walką na śmierć i życie. Tylko, że nie wolno nam tych rzeczy ukrywać, bo przez to samo już, że się o nich nie mówi ani nie pisze, przez to samo solidaryzujemy się niejako z tami dlaniami i zbrodniami, a jest ich jeszcze niemało, którzy codziennie, systematycznie dyskredy-

dżają w naszej literaturze powojennej, jedna z najbardziej zapadających książek jakie zdarzało się ostatnio czytać. Ale rychło okazuje się z rozmowy, że nasz niepokój jest niezasadniony, wcale nie „Podróż na Zachód” miał nasz interlokutor na myśli. Nie. Kałużyński jest odważny, bo napisał dwa sławne artykuły. Jeden o architekturze i urbanistyce Warszawy, drugi o filmie Forda i Koźniewskiego. Jeden, w którym ośmielał się — i to za pośrednictwem imaginacyjnych osób dialogu — stwierdzić, że nie podobna mu się... Krucza, CDT, i „dum pod sedesami”. Drugi, w którym nieśmiało wyrażał przekonanie, że „Piątka z ulicy Barskiej” może być i mogła być filmem jeszcze znakomitszym niż jest!

Bowiem tego rodzaju miarą chcieliby niektórzy mierzyć odwagę pisarza.

Niestety, jeśliśmy się już zgodzili, że o dwadzie pisarza nie stanowi odwaga cywilna korespondenta, to nie ulega już chyba żadnej wątpliwości, że tym bardziej nie może o niej stanowić odwaga komentatora, który po spożyciu niezbyt świeżego kotleta schabowego nieśmiało uprasza o wydanie mu książki skarg i zażaleń.

Mówiąc serio, o odwadze pisarza realizmu socjalistycznego stanowić powinno przede wszystkim smiale podejmowanie w twórczości literackiej wielkiej polemiki ideologicznej. Polemiki z wrogiem. Wiem, że to sformułowanie może ścignąć na mnie gromy, wychodzimy bowiem na ogół z założenia, że dyskutuje się i polemizuje jedynie z nieprzekonanymi, z wrogiem natomiast się walczy. Oczywiście, z wrogiem się walczy, ale jaką bronią? Gdy wróg sięga po dynamit, gdy wykrada tajemnice państwowe, możemy spokojnie powierzyć go opiece naszych władz bezpieczeństwa — jak wiadomo pracują one niezłe. Ale gdy wróg argumentuje, musimy umieć — my, pracownicy frontu ideologicznego — przeciwstawić mu argumentację mocniejszą logicznie, silniejszą emocjonalnie, argumentację p r z e k o n y w a j ą c ą.

I to nie tylko, jak zwykliśmy to czynić dotychczas, kończyć wniosek naszego rozumowania ale pełny przewód logiczny. Bo jak się dzieje dotychczas? Wróg mówi — czarne. My — nieprawda, kłamstwo, białe. Ale nie zadajemy sobie trudu, żeby udowodnić logicznie, że białe jest białe. My i tak o tym wiemy, a wroga i tak nie przekonamy. Ale przecież jeśli o przekonaniu mowa, to nie o przekonaniu wroga! Chodzi o tysiące czy nawet setki tysięcy tych „niezupełnie przekonanych do naszej rzeczywistości”, którzy pozostają pod bezpośrednim, codziennym ostrzałem wrogiej propagandy. Czy opłaca się nam chować głowę w piasek i udawać, że radiostacje zachodnie nie nadają setek audycji, których słucha u nas tysiące ludzi. Ludzi różnych. Przeważnie zaciętych, zapiekłych w nienawiść wrogów. Ale wielu takich, do których może jeszcze trafić logika argumentacji, dla których słowa miłość ojczyzny nie są jeszcze zupełnie wyartym i pozbawionym sensu sloganem. Za tych ostatnich — my jesteśmy odpowiedzialni. Musimy ich wyrwać spod wpływu wrogiej propagandy, musimy im dopomóc w odnalezieniu drogi do naszego obozu. To są często ludzie uczciwi, w pracy zawodowej dający często z siebie bardzo wiele, ale ludzie z nawyku, z przyzwyczajenia nieufni. Tyle razy już ich wywiedziono w pole, tyle razy ich okłamywano, że wola chuchać na zimne. My, jak ci wszyscy, którzy odnaleźli cel swego życia i walki, mamy w sobie wielką ufnosć i wiarę w człowieka, w świat, w słowa. Oni nie wierzą ani w ludzi, ani w świat, ani w słowa. Nie potępiamy ich z góry za ten swojego rodzaju daltonizm — oni widzą, że białe nie jest czarne, bo nie raz już sparzyli się na kłamstwie wroga, ale boją się jeszcze zaufać własnym oczom, uwierzyć w biel

białego. Nie wolno nam z tych ludzi rezygnować, musimy podać im rękę, nauczyć ich patrzeć na świat, wyciągać wnioski logiczne z toku własnego rozumowania, musimy przyprzeć ich do muru własnej niewiary. Dokonać tego będzie mogła tylko taka literatura, tylko taka publicystyka, która przystępując do wielkiej ofensywy ideologicznej podejmie poważny spór światopoglądowy.

Jest jeszcze jedna, poważna korzyść propagandowa, dla której powinniśmy polemizować z argumentami wroga a nie z argumentami ludzi „wątpiących”. Ta mianowicie, że dyskutując z nieprzekonanymi stale dyskutować będziemy o spinaczach, których nie można dostać, i pudełkach pasty do butów, których nie można otworzyć. Po prostu dlatego, że wątpiacy na tej płaszczyźnie podejmuje dyskusję, sądząc błędnie, że o spinacze mu chodzi, gay w głębi duszy, w podświadomości (bo coś takiego przecież istnieje) tkwią w nim do końca nie przezwyciężone inne, jakże głębsze i poważniejsze wątpliwości. I gdy my mówimy, że spinacze już, już będą, już są, to on tymczasem wynajduje sobie jakieś inne symboliczne spinacze, których akurat nie ma, i znów jest „niezupełnie przekonany do dzisiejszej rzeczywistości”. Taka gra w ciuci-babkę może trwać bardzo długo, a najstraszniejsze jest to, że absolutnie nic z niej nie wynika.

Przesadzam? Może. Naumyślnie. Rzeczywiście prasa pisze nie tylko o spinaczach, publicystyka zahacza o nieco poważniejsze sprawy. Ale literatura? Pokażcie mi utwór literacki, w którym wróg przemawia takim językiem, jakim przemawia codziennie przez radio zachodnie, w kolejkach (gdy były kolejki), na herbatce u Cioci Kłoci. Nasza satyra przechwytuje co zabawniejsze bzdury z tej całej argumentacji, ale idzie mi o argumenty natury politycznej czy ideologicznej, które my przeważnie pomijamy jakbyśmy nie mieli na nie odpowiedzi. Przemilczamy dlatego, że nie wiadomo z jakiego powodu uważamy je za „drażliwe”, albo po prostu dlatego, że nie chce nam się popracować, namęczyć nad ich odparciem. Nie warto, i tak wroga nie przekonamy. Ale tych wszystkich pozostających pod jego ostrzałem?

Literatura nasza całego tego kręgu zagadnień w ogóle nie dostrzega. Prowadzi to w prostej linii do demobilizacji pisarzy, do zaniku wszelkich umiejętności i zdolności polemicznych. Przykład konkretny. W jednej z ostatnio napisanych sztuk współczesnych wróg, po raz pierwszy w naszej literaturze powojennej przemawiając prawdziwym językiem wroga, mówi: — Naród wcale was nie chce, nie chce, żebyście go uszczęśliwiali! Spróbujcie zrobić prawdziwie wolne wybory, to zobaczycie! (cytuje z pamięci). Co na to odpowiada bohater pozytywny? Długa, dość mętna tyrada, zakończona twierdzeniem, że my budujemy nowe łóżki dla dzieci!!! Oczywiście wywoła to niezamierzony śmiech na sali. Ale czyż to znaczy, że my nie mamy argumentów? Nieprawda, tylko odczytaliśmy się ich używać, odczytaliśmy się gorąco, namiętnie, żarliwie dyskutować i bić o nasze racje — no bo jak można żarliwie dyskutować o spinaczach?

Na marginesie i pod koniec tych rozważań, chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, sprawie nie-mądrej, też chyba zwinionej przez ów antypolemiczny klimat naszego życia kulturalnego. Idzie mi o politykę przekładów z języków obcych stosowaną przez nasze wydawnictwa. Nie w tym rzecz, że dostarczają nam tylko bardzo wąski wycinek literatury krajów kapitalistycznych, nie dający nam właściwie pojęcia o tym co na Zachodzie pisze się nowego. Nawet tu zdaje się tracimy, badając nie powstają obecnie na Zachodzie dzieła na jakąś bardzo wielką skalę literacką. Z jednym tylko wyjątkiem. Istnieje w tej chwili

w Stanach Zjednoczonych bardzo wielka literatura, którą można nazwać krytyczno-realistyczną, naturalistyczną, czy bóg wie jak jeszcze, która na pewno nie ma wspólnego z lite turą realizmu socjalistycznego, ale której dzieła najwybitniejsze stanowią najsilniejsze ze znanych mi argumenty propagandowe p r z e c i w k o temu podbijającemu zbrojnie kontynenty „american way of life” (amerykańskiemu stylowi życia).

Sily oskarżycielskiej najlepszych książek Steinbecka, Caldwell, Faulknera, chociażby nie były one pisane z naszych pozycji, chociażby nie wszystko było w nich należyście ustalone, chociażby zawierały błędne sformułowania, chociażby ziały poczuciem ponurej bezwystości — nie zastąpi w naszej walce ideologicznej dziesięć, najlepszych nawet, broszur, choćby te z kolei były najlepiej ustawione, zawierały tylko słuszne sformułowanie, wskazywały kierunek rozwoju i linię walki. Dlaczego? Właśnie dlatego, że tamte książki pisane są z nie naszych pozycji, właśnie dlatego, że są świadectwem złożonym prawdziwie przez pisarzy, o których wiadomo, że są pisarzami burżuazyjnymi. Przecież dopiero w ich ustach argumentacja przeciwko ustrojowi wyzysku i niedzy, przeciwko wszystkim mirażom Nowego Świata, które codziennie rozłaczają przed słuchaczami „Głos Ameryki”, nabiera kolosalnej jakiejś sily oddziaływania.

I cóż z tego, że nie wszystko w tych książkach będzie ustawione jak należy? Można przecież z nimi polemizować, wskazywać na ich błędy. O tyle doświadczeń, o tyle etapów rozwoju społecznego, o całą ścisłą, naukową wiedzę o tym rozwoju jesteśmy przecież od tamtych pisarzy mądrzejsi. Co zresztą wcale nie znaczy, że niczego nie możemy się od nich nauczyć. A o te trujące miazmaty beznadziejności nie bójmy się zbytnio. Nasze życie dostarcza dość powodów do dumy, radości i optymizmu, abyśmy nie musieli się lękać o oddziaływanie na społeczeństwo tamtych trudniczn.

W tym wypadku polityka wydawnicza — powodowana strachem przed rzucaniem kamieni w tę „stojącą wodę” naszego życia kulturalnego — wyrządza, wydaje mi się, konkretną szkodę polityczną naszej propagandzie i konkretną szkodę artystyczną naszej literaturze.

A przecież nasi pisarze realizmu socjalistycznego chcą, czują wręcz, że muszą polemizować z literaturą tamtego świata. Nie mają jak, nie mają z kim. Czasami dochodzi do tego, że ośmieszają się w tej szlachetnej i ambitnej walce... na raz-e z wiatrakami. I tak na przykład w jednym z pism codziennych poważny pisarz wyruszył niedawno z całą ciężką artylerią argumentów moralno-politycznych przeciwko czemu? Przeciwno niewinnej, zabawnej komedii „Arsenic and Idlad es”, która wcale nie świadczy (akurat, właśnie ta sztuka) o zdżdzeniu, czy zbydłęciu widza zachodnio-europejskiego i na której, rzecz, ow poważny pisarz śmiały się równie serdecznie jak ja, gdy ją oglądałem. To się nazywa strzelaniem kulą w plot i jest tylko marnowaniem amunicji. Ale jest jednocześnie ważne i cenne, bo świadczy o tym, że pisarze sami odczuwają — jako nakaz swego pisarskiego sumienia — konieczność podejmowania tej właśnie wielkiej polemiki ideologicznej.

Sprawą nas wszystkich — pisarzy, krytyków, wydawców, czytelników — jest ruszenie tej „stojącej wody”, przezwyciężenie klimatu samouspokojenia i samozadowolenia, który zapanował w naszym środowisku, „by nasza literatura mogła wreszcie, dostatecznie uzbrojona i zahartowana, przejść do szerokiej, żarliwej ofensywy ideologicznej.

Jerzy Lisowski



Rys. A. Kobylński

...bo chce wam powiedzieć, jak należy pisać...

wtedy tak wiele się na wsi plewiło, ba, której do dziś nie zdołaliśmy jeszcze ani na wsi, ani w mieście wytrzebić, która rodzi się z wysoku człowieka przez pieniądze i którą dopiero socjalizm skutecznie i definitywnie wypłeni. Kuśmerek świadomie i celowo, zgodnie ze swym widzeniem świata, zgodnie ze swym temperamentem pisarskim ograniczył się w tej książce jedynie do spraw bolesnych, drażliwych, często tragicznych, wyrosłych na gruncie wiekicn przeobrażeń, które zapoczątkowane reformą rolną, targnęły i coraz silniej targać poczęły strukturą społeczną wsi polskiej.

Pamiętamy jeszcze jak książka została przyjęta, pamiętamy recenzje o niej, pamiętamy wrzawę, jaka się podniosła na Sekcji w Związku. Książka została okrzyknięta jako szkalująca naszą rzeczywistość. Ni mniej, ni więcej. Książkę, która w imię walki o sprawiedliwość społeczną — hasła wypisanego na sztandarach socjalizmu — demaskowała to wszystko, co działa się jeszcze na wsi przeciw i wbrew naszemu ustrojowi, okrzyknięta za szkodliwą, szkalującą ustrój socjalistyczny. Jak to się stało? Jakimi argumentami podpierano tak nieoczekiwany zgola sąd? Że Kuśmerek nie dostrzega „jasnych” stron naszego życia, nie widzi wielkich i trwałych osiągnięć, których w roku 1950 mieliśmy już tak wiele, że nie zauważa doniosłych zmian zaszłych w świadomości ludzkiej, że zasugerowany widokiem obiektywnej krzywdy, która dzieje się temu lub owemu człowiekowi w naszym ustroju zapomina o tym, że nikt inny a właśnie ten ustrój wyrównał wiekowe krzywdy milionów ludzi, całych klas społecznych, że Kuśmerek nie widzi żadnych perspektyw rozwojowych, etc... Ale przecież właśnie dlatego, że Kuśmerek to wszystko dostrzegał, widział i rozumiał, przecież właśnie dlatego ta obiektywna, niezawiniona krzywda ludzka, niewypływająca z natury, ale z natury, że zabiła go i zabiła tak dotkliwie, że musiał o niej napisać, że nie mógł przejść obok niej obojętnie. A jeśli chodzi o społeczne oddziaływanie książki, to przecież dla najmniej wyrobionego czytelnika nie mogło ulegać ani na chwilę wątpliwości, że to nasz ustrój gnębił Adachową, że to nie nasz ustrój zawinił śmierć małej dziewczynki w „K.n.u.”, że to nie nasz ustrój wszadził do więzienia jej ojca, ale że działał tu jeszcze nieublagany mechanizm praw kapitalistycznego wyzysku, szalała kulacka nienawiść, która znajdowała sobie ochoczych

tuja nasz ustrój w oczach tysięcy ludzi, których my mamy do socjalizmu przekonać, którym musimy dawać codziennie nowe racje walkienia o socjalizm.

Dlatego też wydaje mi się, że książka Kuśmiera, piętnująca publicznie objawy łamania praworządności, demaskująca metody walki klasowej stosowane przez kulactwo, utwierdzająca w masach przekonanie, że władza ludowa jest istotnie i c h w l ą d z ą — zawierała w sobie silniejszy ładunek polityczny niż cała ówczesna literatura hagiograficzna o tematyce wiejskiej razem wzięta.

Otóż uczciwy pisarz jakim niewątpliwie jest Kuśmerek, nie mogąc przystać na nieludzkie i niemądre argumenty krytyki zacietrzewia się, swój temperament pisarski tak już odtem podlany zaprawia jeszcze gorzyczką i dawaj wyszukiwać — już nie z obowiązku, z czujności pisarskiego sumienia ale jakby dla przekornej jakiejś przyjemności — co ciemniejszą, co brzydsze strony naszego życia... Co ważniejsza, wydaje mi się przytem, że jest co najmniej nowoczesnym katonem i najważniejszym z pisarzy. Co jeszcze ważniejsze — inni zaczynają go już za takiego uważać. Spróbujcie utrzymać, że nasi pisarze nie grzeszą zbytnią odwagą — zaraz wam ktoś powie: jak to, a Kuśmerek?

Sęk w tym, że odwaga cywilna stanowi może i nawet na pewno o odwadze korespondenta „Trybunu Robotniczej” — nie stanowi jednak jeszcze o odwadze pisarza.

Zdaje sobie nagie sprawę, że sprawa Kuśmiera, która miała tylko egzemplifikować owo opaczne pojmowanie pojęcia odwagi pisarskiej, rozrosła się tu do sprawy samej w sobie, przyjmując większe niż chciałbym jej nadać znaczenie. Toteż podeprę swoje twierdzenie innym jeszcze przykładem, równie wymownym, który jak sądzę powinien i sprawę Kuśmiera sprowadzić w moim wywodzie do właściwych rozmiarów.

Bo też w istocie równie często jak nazwisko Kuśmiera pada w wypowiedzi na zarzut „asekurancistwa” inne nazwisko. Kałużyńskiego. I daje to — trzeba przyznać — trochę do myślenia. Może nie tak znów opaczne jest w naszym środowisku to p o m o w i e n i e o d w a g i p i s a r s k e j, skoro za dowód odwagi poczytuje się Kałużyńskiemu „Podróż na Zachód”. Jest to przecież odważna próba wielkiej dyskusji ideologicznej — nie pozbawiona i usłonek i uproszczeń i naiwności — ale najambitniejsza cnywa próba tego ro-

ALEKSANDER ZIEMNY

CHŁOPIEC Z WIEJSKIEGO ZACIĄGU

Komin, bijący sadzą i pyłem
zastąpi rodzinny węzł.
Niemało zmagañ kosztuje bilet
z ojczyznej wioski na Śląsk.

Z błękitnej ciszy pod ciężki pułap
rdzawą powłoką zasnutą.
Ojciec kuferek sklecił z deszczulek
żegnając, patrzył z wyrzutem.

Nie mógł zrozumieć... Jak wytłumaczyć?
Jeszcze się rwie własna myśl.
Czujesz: nie można było inaczej.
Wiesz tylko: tak trzeba dziś.

Pewnie, że obco z początku. Bywa —
drwina cię smagnie jak bicz.
Lecz sprawiedliwa dłoń kolektywu
nakaże szydery: mierz!

Po nocach wabi, kusí zabawą
mętny, pijacki śpiew.
Daremnia. Nowa, piękniejsza sprawa
wchodzi już mocno w krew.

Myśl nieraz będzie piąć się, zawracać
nim pojmie w górniczej szkole
jak się przelicza węgiel-antrycyt
na lepszą chłopską dolę.

Uczy tej prostej mądrości ziemia
chropawa i bez urody,
gdzie lepiej slychać, jak rytym swój zmienia
serce ojczyzny młodej.

Wróćcie, gdy nowe powstana pieśni
do strzki siwego dymu.
A wtedy ojciec — już twój rówieśnik
powie „Rozumiem, synu...”

„Ni to ni owo”

Hanka mieszkała z ojcem w domu naprzeciwko apteki „pod barankiem”. Dom był brzydki, ale solidny. Naśladował luksusowe, wielkomięskie kamienice z początku XIX wieku. Dwie kariatydy podtrzymywały nad bramą balkon pierwszego piętra. Były to smutne dziewice do połowy nagie. Drugiej połowy nie miały, bowiem wyrastały od pasa wprost z muru. Wyglądały bardzo wale, ktoś kto wierzyłby, że naprawdę podtrzymują balkon, wzdrgałby się na nim stanąć.

Dom był ciemnoszarego koloru, czteropiętrowy. Ozdabiał go różne nieokreślone ozdoby w rodzaju rogów obfitości. Na dachu stała figura trzymająca szklaną kulę. Być może kula powinna była świecić. Nie świeciła jednak i najstarsi nawet ludzie nie przypominali sobie, by świeciła kiedykolwiek.

Był to najwyższy dom przy placu św. Bartłomieja i jeden z wyższych w mieście.

Hanka mieszkała na czwartym piętrze. Mieszkanie składało się z dwu pokoi, kuchni, łazienki i wielkiego, ciemnego korytarza. Wydawało się Hance bardzo piękne, pełne uroku i niezwykłego nastroju. Czy takie było istotnie, należy wątpić. Jednak sprawdzić tego nie będzie można już nigdy. Dom ten stoi po dziś dzień, ale mieszkają w nim inni ludzie i inne toczą się sprawy. Człowiek, a nie architektura, jest twórcą uroku mieszkań. Nie zaś nie czyni go tak niezwykłym, jak spojrzenie dzieciństwa.

Hanka nie miała matki. Nie miała jej nigdy. Matka Hanki piękne, słonecznego ranka w maju 1918 roku umarła przy porodzie.

Wyobraźcie sobie strapienie jej ojca. Utracił bliskiego, dobrze znanego człowieka, opiekującego ducha pełnego słodczy, by zyskać w zamian nieznana istotę, nie nadającą się do nawiązania jakiegokolwiek kontaktu, krzyczącą bez przerwy i pod każdym względem kłopotliwą.

Takie skupienie w jednej chwili i w jednym właściwie istnieniu zagadnienia życia i śmierci, ma w sobie coś wzniosłego i pięknego. I, jak muzyka Bacha, jest może nawet w stanie pogodzić nas na czas pewien z tym, co w ludzkim bycie wydaje nam się wciąż jeszcze najtrudniejsze do zrozumienia i przyjęcia.

Ale nie dla kogoś, kto w słoneczny majowy ranek jest faktem tym dotknięty bezpośrednio, kto zostaje ugodzony w trwały (jak mu się zdawało) porządek i ład dni powszednich. Profesor Żakowski nie śmiał, ze zdziwieniem i lękiem dotknął po raz pierwszy ciałka swego dziecka, potem zakrył twarz dłońmi i zaczął płakać. Płakał tyle z żalu, smutku i bezradności, co z ogromnego zdziwienia i lęku przed dalszym życiem. Dziecko krzyczało. Lekarz i pielęgniarka stali milcząc ze spuszczonej głowami.

Ilazdemu wydobyły się naturalne, że straciwszy żonę biedny profesor powinien tym bardziej pokochać córkę, która mu została. Tak było niewątpliwie. Nie mógł jednak przy tym pobyć się w stosunku do niej niejasnych uczuć: żalu i pretensji.

Te uczucia starał się początkowo dławić. Potem przywiązał się do nich. Stały mu się wręcz potrzebne na codzienny użytek.

Ojciec Hanki, jak tyłu innych, przeżywał w młodości wysokie wiozoty, pragnął śmiało i odważnie przedziierać się przez życie, bezkompromisowo walczyć ze wszystkim co złe, występne i niesprawiedliwe, szukać nowych, lepszych form ludzkiego współzycia, burzyć świat stary i stawiać nowy w jego miejsce. Uważał się za socjalistę, brał udział w pochodach, manifestacjach i studenckich strajkach, wygrażał dosłownie i w przenośni burżuazjom. Wyobrażał sobie, że dokona wraz z kolegami przewrotu w dziejach świata, że jak waleczny rycerz wyzwała dręczoną przez czarownicę królowną na szklanej górze, on wywoził wraz z kolegami ciempiąką ludzkość z okowów kapitalistycznego uciśku. Wiadomo nam jednak z historii, że Józef Żakowski tak nie dokonał. Im natomiast więcej trosk osobistych i codziennych kłopotów gromadziło przed nim życie, tym pokorniej poddawał się prawidłom działania owego mechanizmu, który zamierzał z kolegami zdruzgotać, akt światoburczy odkładał zaś na czas, gdy polepszy się jego prywatna sytuacja. Ale sytuacja nie polepszała się.

Człowiek bez charakteru nie zwykł przynajmniej się przed sobą do jego braku. Przyszanie świadczyłoby przecież jednak o jakimś charakterze. Ludzie bez charakteru zwykli składać rezygnację z ambitych zamysłów i ze wzniosłych idei na karb okoliczności zewnętrznych i przypadkowych, na nieodwracalność życiowych konieczności, na małosłowność i egoizm swego otoczenia, przeważnie najbliższego. Gimnazjalny nauczyciel Józef Żakowski, człowiek bez większego polotu i bez szczególnych zdolności, któremu miernota, szkolna rutyna i strach przed opinią wizytatora musiały całkowicie wybić z głowy dawne idee i aspiracje, mógł łatwo

przyczyn swej gorzkiej rezygnacji doszukiwać się w filozofii nieuchronnej zależności woli i zmysłu od przypadków losu.

Był więc przekonany, że śmierć żony i narodziny córki stały się tym nieubłagany wyrokiem, który zdecydował, iż los ambitnego, pełnego światoburczych idei studenta nie mógł stać się niczym więcej jak losem wdowca obciążonego córką, zmuszonego do ciągłych ustępstw wobec życia.

Dłatego cichy żal do dziecka, iż stało się pośrednią przyczyną utraty towarzyski życia, rozszerzył później i na inne sprawy bardzo zasadnicze. Kochał je wprowadzić tkliwie, ale wszystkie te sprzeczności sprawiły, że jego miłość była histeryczna i niekonsekwentna. Ludzie, których słaby charakter zmusza do uległości wobec sił przeciwnych ich dążeniom, stają się surowi i pryncypialni w nieważnych drobiazgach, a słabi i chwiejni w sprawach zasadniczych. W najmniej właściwych momentach pieścił i całował córkę, w najmniej właściwych krzyczał na nią, karcił i groził karami, do których nigdy nie dochodziło. W ten sposób tracił powoli swój autorytet, zniechęcony oddalał się od córki, coraz mniej zajmował się nią i jej wychowaniem, pograżał w coraz większym żalu do niej, do całego świata razem i do wszystkich ludzi z osobna. Stawał się nieznosnym nudziarzem i głądą, z którego nikt sobie nie robił, pedantem szczególnego rodzaju, który maniaćko wciąż wszystko porządkował i coraz większy miał wkóło siebie nieład.

Tak więc Hance brakło nie tylko matki, ale i ojca. Szybko, we wczesnych swoich latach stała się osobą samodzielną.

Wychowywała ją służąca Olesia. Wychowywała — nie jest tu słowem właściwym. Zależy zresztą, co pod nim rozumiemy.

Od przyjsia Hanka na świat. Olesia pokochała ją z całym oddaniem współczującego serca, z oddaniem właściwym wiejskim kobietom, czułym na sierocą dołą.

Kiedyś marzyła, żeby dorobić się na służbie w mieście posagu i powrócić z nim na wieś. Od urodzin Hanki przestało dla niej istnieć wszystko poza tym dzieckiem. Wmówiła sobie, że los rozmyślnie sprowadził ją do tego domu, by wzięła w opiekę małą sierotkę i chroniła od krzywd. Teraz odkładała pieniądze, już tylko na to, by dziecku niczego nie zbrakło. Kupowała wszystko, czego skąpił ojciec, stawiała sobie za punkt honoru, by Hanka była najporządniej ubranym dzieckiem w kamienicy.

Nie umiałbyśmy wyjaśnić, na czym polega domowe wychowanie dzieci. Na czym szczególnie mogło polegać wychowanie dzieci nauczycieli szkolnych — wie sama. Wychowywać się samej w mieście prowincjonalnym, w kamienicy o smutnych, połowicznych kariatydach z dziwną postacią na dachu trzymającą nie palącą się nigdy lampę, na takim placu jak plac św. Bartłomieja i naprzeciw okien mieszkania aptekarzostwa Męcnińskich, to dla dziecka, szczególnie dla dziewczyny, rzecz niepokojąca, nie rokująca najlepszych nadziei. Hanka nauczyła się od Olesii czegoś, czego nie nauczyły jej nikt inny w tym mieście, a co uodporniło ją przeciw smutkowi, głupocie, pustce i próżności placu św. Bartłomieja, nawet w pewnej mierze, bo przecież nie całkowicie, przeciw urokom tajemniczego świata za złotymi firankami okien aptekarzowej Męcnińskiej.

Nauczyła się prostoty serca. Porównując się z innymi dziećmi, które miały matki, rzeczowych, zrównoważonych ojców i zgodne z wymaganiami przeciwnych warunków stosunki domowe, Hanka zaczęła uświadamiać sobie swoją odrębność.

Ale to porównanie nie budziło w niej uczucia osamotnienia ani żalu, ani nie dotykało urazem upośledzenia.

Tęskniąco oczywiście za matką, za posiadaniem matki. Gorące przywiązanie do Olesii, jej czuła troska, nie mogły, mimo wszystko, wypełnić

luki wytworzonej brakiem najnaturalniejszego z uczuć.

Ale tęsknota owa nie miała związku z normalnym bytem innych dzieci, a wiązała się raczej z tęsknotami, których Hanka doznawała od najwcześniejszego dzieciństwa, tęsknotami przeciwnymi wszystkiemu co mieściła w sobie kamienica na placu św. Bartłomieja i inne kamienice w mieście.

Lubiła siadać wieczorami w oknie i wpatrywać się w wygwieżdzone niebo, lśniące blaskiem księżyca dachy, w światła bliższych i dalszych domów, nad którymi snuły się blade w mroku dymy, w ciemny horyzont pól i lasów za miastem. Lubiła wsłuchiwać się w wieczorne głosy miasta, dźwięczne uderzenia zegara na wieży kościoła św. Bartłomieja, stukot pociągów i gwizd lokomotywy, w milczenie nocy — ową muzykę, której nie dorównuje muzyka ziemskich geniuszów.

Doznawała gorącego i niecierpliwego pragnienia, ażeby uciec w ten obramowany oknem świat, uciec od tego, co szare, pospolite i zwyczajne.

A wszystko było szare, pospolite i zwyczajne po „tej stronie okna”. Tak nazwała toczące się wokół niej życie. Wszystko było sztuczne, fałszywe, bezduszne.

Ogromnie spodobala jej się bajka o Piotrusiu Panie, którą dostala raz na gwiazdkę od Olesii.

Dzieci były kiedyś ptakami i mieszkaly w wielkim parku na Ptasiej Wyspie. Ludzie pragnący mieć dziecko pisali list do kruk Salomona, wyrażali w nim swoje życzenia, a kruk Salomon posyłał im ptaszka, który zmieniał się po drodze w chłopczyka lub dziewczynkę. Tak zyskał rodziców i Piotrus Pan. Leżał w kołysce, w puchowym beciku, rodzice i krewni wydziewiali nad nim, pieścili go i zabawiali. Było mu dobrze, ciepło i przytulnie. Ale gdy nadchodził wieczór, a za oknem rysowały się wysokie ciemne sylwetki drzew na Ptasiej Wyspie, ogarniał go niepokój i tęsknota. Pewnego razu usly-



Rys. A. Rafałowski

szal jak rodzice zastanawiali się czym zostanie, gdy dorosnie. Myśli, że zostanie kiedyś dorosłym, że będzie nosił jak ojciec krępujące ciasto sztywne ubranie, binokle i wasy, że będzie chodził z laską i teczka, że jak ojciec będzie wykonywał mnóstwo śmiesznych, niepotrzebnych czynności i wyglądał tysiące pozbawionych sensu i znaczenia zdań, tak bardzo go przerażała, iż postanowił uciec, powrócić na Ptaszą Wyspę, aby nigdy nie zostać dorosłym. I letniego wieczoru, gdy rodzice wyszli z pokoju zostawiając drzwi otwarte, Piotrus

Pan pofrnuł z powrotem do swego ptasiej ojczyzny. Nie zawał o bę sprawy, że nie jest już ptakiem, że nie ma już piór ani skrzydełek i dzięki temu właśnie mógł jeszcze fruwać. Ale kiedy przybył na wyspę, ptaki uciekły przed nim. Nie rozumiejąc tego, zachowywał się wciąż jeszcze po ptasiemu i dopiero szereg innych doświadczeń zmusił go, by pojął, że ptakiem nie jest i nie ma już z ptakami nic wspólnego. Stroskany udał się po radę do kruk Salomona, ale kruk Salomon rozłożył beznadziejnie skrzydła. Ani on, ani nikt inny nie jest w stanie zmienić faktu, że Piotrus przestał być ptakiem. Co gorsza, uciekający od ludzi przestał właściwie być również człowiekiem. Powrót zaś też jest niemożliwy, bowiem straciwszy wiarę w to, że jest ptakiem, nie będzie umiał więcej fruwać. Zresztą i tak nie zostałaby przyjęty. Rodzice natychmiast po jego zniknięciu wysłali zapotrzebowanie na nowe dziecko i już ono zajmuje miejsce Piotrusia. Nie ma innej rady, tylko musi pozostać tu tym czym jest. Czym zaś jest? Ptakiem? Nie. Człowiekiem? Też nie. Kruk Salomon zamyslił się głęboko i wreszcie zdecydował: — Jesteś „Ni to ni owo”.

I tak Piotrus Pan został na Ptasiej Wyspie jako „Ni to ni owo”. Pomagał ptakom lepić gniazda, krukowi Salomonowi sortować zamówienia na dzieci, przygrywał do tańca elfom na fujarce, którą ukręcił sobie z wierzby.

Nie był szczęśliwy ani nieszczęśliwy. I tylko czasem, w letni wieczór gdy od strony dalekiej bramy parkowej dochodził szczególnie wyraźny gwar miasta, szum pól i dźwięk tramwajowych dzwoneków, a poprzez drzewa prześwitywały ciemne kontury domów i migotały uliczne światła, skłócała mu nagłe serce tęsknota, której nie rozumiał.

Hanka, tak jak Piotrus Pan, nie chciała by żadne skarby zostały dorosłą, taką dorosłą jak wiywała dorosłych wokół siebie. Pojęcie „dorosłości” kojarzyło jej się z duchem kuchennym, sknerstwem i sobokostwem ludzi poirytowanych, tyranią łepych i nierozumnych zakonów, rezygnacją ze wszystkiego, co w życiu piękne i niezwykłe, z beznadziejną monotonią dni uszeregowanych w rygory skostniałych nawyków. Uważała odruch Piotrusia za słuszny i całkowicie usprawiedliwiony. Bardzo mu współczowała, że ucieczka nie powiedziała mu się w pełni. I było dla niej coś głęboko zastanawiającego w fakcie, iż przestraszywszy się dorosłości zażęknął za piasią ojczyznę, a gdy się do niej dostał i oddał sobie drogę powrotu stał się „Ni tym ni owym” i z kolei dręczyła go tęsknota za światem ludzkim. Hanka lubiła bajki, ale nigdy nie wierzyła w istnienie czarodziejskiego świata. Świat za oknem, w który chciała uciec, nie był dla niej światem nierealnej baśni, ale przeżyciem innego świata ludzi i spraw ludzkich, lepszego i ciekawszego od świata zamykającego się w ciasnych murach placu św. Bartłomieja. Nie pragnęła więc jak Piotrus Pan chronić się przed beznadziejnością dorosłości ucieczką w kraj wiecznego dzieciństwa. Wiedziała, że prędzej czy później musi zostać dorosłą. Nie tego się bała. Przerażała ją myśl, że mogłaby być dorosłą z placu św. Bartłomieja. Przed tym postanowiła się bronić i od tego uciec. Tam, gdzie za oknem, był przecież wielki świat, świat, w którym żyli ludzie dorosli, wioley i wspaniali bohaterowie, zdolni do niezwykłych czynów, gigantycznych wysiłków i poświęceń. Wśród nich chciała żyć, chciała zostać jednym z nich.

MARIA KURYLUK

S e n

Odkąd Stefan został dyrektorem Zakładów Tkackich, w których niedawno temu jeszcze pracował jako zwykły tkacz, czas jego był bardzo ograniczony. Pracował po trzynaście i piętnaście godzin na dobę. Musiał się znać na sprawach, o których dawniej nie miał pojęcia. Nowa praca wymagała dużego wysiłku myślowego, prócz tego musiał się stale uczyć. Supelki, które teraz zdarzało mu się rozplatać, to nie były te dawne supelki, do których wystarczyły dwie poprawne ręce.

Był to człowiek niezłomnych przekonań, jeden z tych komunistów, których całe życie należy do idei. Prosta twarz rzeźbiona przez walkę, więzienia i odpowiedzialność, atletyczna budowa ciała, wolny, równy chód, jego spokojne ręce — wyrażały siłę.

Codziennie rano o ósmej udawał się Stefan do pracy. Chodził zawsze tymi samymi ulicami. Rosły tam stare kasztany i lipy, na parkanach wilo się dzikie wino. Gdyby nie ta ranna przechadzka do pracy, zapomniałby Stefan o istnieniu przyrody. A kochał ją tą niemał namietnością człowieka, który przyzwyczaił się do skrywania swoich uczuć.

Od pewnego czasu spotykał rano młodą kobietę. Zwrócił na nią uwagę. Ona również zauważyła go. Ich spojrzenia zawsze się spotykały. Na jej widok budziła się w Stefanie nieznana mu już od lat przedziwna radość, której nazwać nie umiał.

Rosła i ładna, miała w uśmiechu, w oczach i w ruchach coś szczególnie miłego, coś, co sprawiało, że widziana przelotnie, przypominała się jeszcze o wiele później. Bywało, że nagle wśród natłoku pracy obraz jej wypływał przed Stefanem. Wówczas zapusowała w nim owa szczególna radość, którą doznawał na jej widok, by po chwili zmieniał się w niechęć. — Co za historia... Zmęczony jestem. Wszystko zmęczenie.

Powoli nieznajoma weszła w jego życie. Pewnego dnia jej nie spotkał. Nazajutrz również nadaremnie jej wypatrywał. I tak minęło bez niej dwadzieścia dni. Liczył te dni.

Trzynastego dnia znów ją zobaczył, jak właściwym sobie lekkim krokiem szła w jego kierunku, by jak zwykle go minąć. Wówczas sięgnął spokojną ręką po kapeluszy i po raz pierwszy jej się uklonił. Ona odpowiedziała mu krótkim skinieniem głowy, ale oczy jej — tak mu się zdawało — zaśnily.

Odtąd kłaniał się jej codziennie. Bez zatrzymania mijali się, szli każde w swą stronę.

1-go Maja Stefan stał na trybunie honorowej i przyglądał się defiladzie. Był to jeden z owych cud-

nych wiosennych dni, ulkany z marzeń, przesycony zapachem wilgotnej, parującej ziemi i pragnieniem, by wędrować daleko za miasto, pod wiatr. Budząca się do życia przyroda, powietrze jak gdyby rozegrane, czerwień sztandarów, wspaniała manifestacja pracujących, to wszystko tworzyło niecodzienny nastrój. Na widok młodych roześmianych twarzy defilujących powstawała cicha radość w jego sercu. On takiej młodości nie miał, aż dziw, że nie zgnił w więzieniu.

Nagle zobaczył ją. Szła w tłółwiec dużej grupy śpiewającej młodzieży. Ona również śpiewała, a palcami przebiebrała struny gitary. Była w lekkiej, błękitnej sukience, którą porwał wiatr, a barwne wstążki chodzące jej instrumentem trzępotały nierzeczywiście piękne. On takiej młodości nie miał, aż dziw, że nie zgnił w więzieniu.

Kiedy opuścił wraz z resztą towarzyszy trybunę, niecodzienny, dziwny nastrój trwał w nim jeszcze. Było w nim jakieś oczekiwanie, sprzeczne uczucia, których nazwać nie umiał, miał ochotę puścić się w tłum, by szukać jej, która wydawała mu się taka bliska. — Co za historia — pomyślał — i wolnym krokiem poszedł do domu.

Czekała już na niego Stasia. Ona każdą myślą musiała się zawsze dzielić z ojcem. To dziecko było jego, sześciolatkiem, prawdziwym ukołuchaniem. W tej miłości nurtowała całą jego wstydliwie ukrywana czułość dla żywego człowieka, czułość której w życiu nie roztrwonil. Kiedy przebywał ze Stasią był jakby innym człowiekiem. Odpadała zeń pewna surowość, która go cechowała i wyraz pogody rozjaśniał i upiększał jego twarz.

Zona wróciła z defilady zmęczona i w złym humorze. W takich wypadkach bywała zawsze obojętna, nie dostrzegała nikogo.

Poznali się w nielegalnej robocie. Jak on, pracowała w partii. Żyli ze sobą od więzienia do więzienia. Stefan odsiedział wszystkiego dzieśięć lat, ona siedem. Wrócili do siebie schorowani, z nadzarpniętymi nerwami, z dzikim pragnieniem wzajemnej bliskości. Młodość mijająca, ciała stały się sobie obce. W tych rzadkich godzinach, które należały do nich, wybuchaly między nimi gwałtowne sprzeczki, graniczące z nienawiścią.

I tak przeszły lata. Stasia urodziła się im dopiero po okupacji. Pra-

gnienie kochania kogoś czystym, prostym uczuciem, przelewał Stefan teraz na swoje dziecko.

Wieczorem żona czuła się w dalszym ciągu źle.

Wyszedł więc sam. Szedł przed siebie, bez celu. Rakiety raz po raz wyrzuciły bukiety złotych iskier w ciemną przestrzeń. Dziewczęta i chłopcy w czerwonych krawatach chodzili gromadnie po ulicach, w powietrzu drgał ich młody śmiech. Porwała go ta rzeka młodości, ale czuł się samotny. Chaotyczne myśli tłukły mu się po głowie. Czegoś zabrakło w jego życiu. Serce mu wyschło, zgorzkniało. Miłość... Czymże ona jest? Na miłość, z tym wszystkim jak tego pragną kobiety, nigdy nie miał czasu.

Dotarł do parku i opierając się o kamienną balustradę patrzył w dół, gdzie na niewielkim placu przy dźwiękach muzyki młodzież uwijała się w tańcu.

W pewnej chwili poczuł dotyk na ramieniu. Obok niego stała ona. Nie wiedzieli, co uczynić, co powiedzieć. Wpatrywali się w siebie milcząc. W jej jasnych oczach, które pięknie kontrastowały z masą krukich włosów, malowały się poważne dojrzałego człowieka, jakaś czystość prawie dziecięca i tyle oddania, iż zasumowało mu w głowie. Nie zrobił jednak nic, co uzewnętrzniłoby stan jego duszy, a stał sztywno, wpatrując się w nią z ukrywana radością.

Milcząc usiedli na ławce pod drzewem. Stefan przeżywał tę chwilę całym sobą. Chciało mu się śmiać i śpiewać, czuł się młody i silny. — Miła — myślał, do głębi przeniknięty uczuciem. — Kochana. — Serce jego szeptało naiwne, czule słowa.

Ona przypatrywała mu się, jakby na zawsze chciała zapamiętać jego całego. Odczuwała szczęście tego spotkania tak głęboko, iż graniczyło to z bólem. Chciała mu opowiedzieć o sobie, o sprawach najważniejszych w jej życiu, o swojej pracy i studiach. Chciała mówić o swoim uczuciu ku niemu, nieznane-mu mężczyźnie, którego twarz budziła w niej taką ufność, chciała opowiedzieć jak powoli rozwijała się w niej miłość. Wydawało jej się, że trzeba mu to wszystko powiedzieć, czuła bowiem, że dla niego człowiek nie jest igazką.

Milczała jednak. A on podniósł się nagle z ławki, wyprostował się i oświadczył, że pora już wracać i że trzeba się pożegnać. Zmienił się w jednej chwili, z jego twarzy znikła szczęśliwość, wydawał się zmęczony. Patrząc twardo w jej pytające oczy, powiedział: — Mam dziecko i żonę.

Zrozumiała z przeraźliwą jasnością, że nie już nie zdoła zmienić jej

stosunku do niego. Zapytała więc, kiedy się znów spotkają. Wsluchiwała się w jego odpowiedź, która brzmiała jakoś dziwnie niefrasobliwie jak jej się zdawało: jutro rano, jak zwykle.

Rozeszli się. Stefan wracał do domu. Przeżycie tego wieczoru dotknęły całego świata uczuć i marzeń, który był w nim zasypany już od lat innymi sprawami. Czuł jeszcze ciągle na sobie spojrzenie dziewczyny, przemawiała go jej prostota, całe jej ufnie i serdeczne usposobienie, w którym nie było nic z afektacji. Czekal na nią także całe...

Gdy wrócił do domu, żona już spała. Na biurku w jego gabinecie leżała kartka. „Tatusiu, czekałam długo na ciebie. Chciałam ci jeszcze coś ważnego powiedzieć. Ale jest już późno, idę spać. Dobranoc, kochany mój Tatusiu”.

Przeszedł cicho do pokoju córki i stanął obok białego łóżeczka. Wsluchiwał się w jej równy głęboki oddech, po czym zaświecił lampkę z abażurem. Otworzył ciężką Stasi, sprawdził jej dzienniczek i zeszyty, wszystko ułożył w porządku i na palcach wrócił do siebie.

Serce jego było wzburzone. Nie przestawał myśleć o niej, która jak piękny sen weszła w jego życie i wiedział, że ulegnie jej czarowi, jeśli ją znów zobaczy. Wiedział przed sobą jej oczy, zapamiętał ich niemy, błagalny wyraz podczas pożegnania. Jakby oczekiwała wyroku, jakby w jego ręku był jej los.

Sprawdził program radiowy. Pokręcił galką. Na jego skołatanie serce spłynęła pełna słodyczy kilkunastoletnia melodia. Wsluchiwał się w nią z uwagą, jakby czegoś od niej oczekiwał. Nie znalazł się na muzyce, ale melodia wydawała mu się prosta i piękna. Takie powinno być życie. Ale ten, który napisał tę muzykę, takiego życia również nie miał. Czytał gdzieś o nim, że dużo miał dzieci i ciężkie troski.

Wyszedł na balkon. W głębi czarnej nocy, jak główny bohater na bezkresnej scenie powiewał czerwony sztandar, oświecony niewidocznymi reflektorami. Ten sam, który dziś powiewał na całym świecie.

Zmęczonym krokiem wrócił do gabinetu. Sięgnął po słuchawkę od telefonu i nakręcił numer. Gdy odezwał się głos, krzyknął prawie: „Słuchajcie, przyjdźcie jutro rano po mnie, o ósmej. Czy źle się czuję? Tak sobie, nie poważnego. Starejemy się po prostu. Co? Odpocząć? Jeszcze czas na to. A’a, co to chciałem jeszcze powiedzieć... Od jutra będę codziennie jeździł do pracy. Cześć”.

książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki • książki

Nowa książka Zofii Nałkowskiej



Opowieść biograficzna „Mój ojciec” — to jeszcze jeden „medalion” Nałkowskiej, urzekający postulatami Horacego zwięzłością („brevitas”). Przejrzystość stylu została tu doprowadzona chyba do szczytu, a najtrudniejsze sprawy sformułowane za pomocą najmniejszej ilości celnych słów. Ten pozabawiony nawet cienia podręcznikarskiej schematyzacji czy mdłego panegiryzmu życiorys przeniknięty jest charakterystycznym dla Nałkowskiej widzeniem świata, przez głębsze tkanki utworu przeświadcza tak jej właściwe zamyslenie nad sensem życia, nad przemijalnością ludzi i rzeczy, trwa w nim nadal — rozpoczęta w „Domu nad Łakami” — pogoń za utracionymi pejzażami dzieciństwa i młodości, zjawia się nawet motyw trudnej, chociaż „dobrej” tym razem, miłości (fragment o Annie). Wszystko to jednak — raczej napomknięte niż wyrażone, a w pewnej mierze, być może, zasugerowane głęboko filozoficznym tonem autorki — nie nadaje książce odcienia relatywizmu czy pesymizmu. Od pierwszych niemal zdań wprowadza nas Nałkowska w świat przeświecony racjonalistyczną myślą, powiązany przyczynowo, wytłumaczony materialistycznie. Surowa i jednoznaczna jest prawda o przyczynach nędzy Nałkowskiego w okresie studiów i jego nienawiści do arystokracji i kleru. Jednoznaczne i zdeterminowane społecznie —

*) Zofia Nałkowska, *Mój ojciec*, Warszawa, Nasza Księgarnia 1954.

Władysław Leńiewski

Opowiadania Bohdana Czeszki



Ukazał się nowy tom opowiadań Bohdana Czeszki — niewielki i dość kameralny, ale bardzo ciekawy i istotny zarówno dla samego pisarza, jak dla nowej bieżącej produkcji literackiej. Czytelnik, który miał może sposobność zetknięcia się z moim artykułem o „Władzy” Konwickiego w „Życiu Literackim”, zdziwi się zapewne, że napisawszy ostrą i dyskredytującą recenzję powieści dużej, ambitnej, pierwszolinowej pod względem tematyki, nazywam teraz istotnym dla współczesnego pisarstwa studium w tomiku drobnych opowiadań, stanowiących — jakby się mógł domyśleć czytelnik „Pokołania” — raczej okruszki piarskiej pracy Bohdana Czeszki. Ale odczytując się o osiągnięcia piarskie między innymi drukarskich arkuszy, a polityczną wartość literackiego utworu oceniając podług mnogości słów związanych z polityką. Ważki temat i ważka fabuła nie musi przynosić żadnych treści. I na odwrót.

Opowiadania Czeszki charakteryzują się tym, że kiedy się je chce streścić, nie powtarza się anegdoty, ale chciało by się na ten sam temat ułożyć aforyzm. Anegdota jest najczęściej u Czeszki nuda, wątlutka, małeńka; opowiedziana w prostych, krótkich słowach mogłaby wywołać zdziwienie pytanie: „I co z tego?” Treść opowiadania zawiera się natomiast w znaczącym oświeceniu anegdoty, w tonacji stylu, w wypunktowaniu odpowiednich momentów oraz w zaskakującym, a sugestywnym powiązaniu jej z prawdami ważnymi, wysoko, wysoko wyrastającymi ponad rozmiar fabularnych wydarzeń.

Dam przykład „Kukułki”. W cię, letni wieczór przyjeżdża narzator do znajomej wsi na ryby. Zastaje swych przyjaciół dziwnie skupionych i poważnych, a nawet je-

stwie jej znaczenia. Obecność głębszego znaczenia zapowiada szczególnie ukształtowany, aluzyjny, dwuznaczny, trochę tajemniczy, trochę (umyślnie) afektowany styl. Spełnia obietnicę dopiero zdanie ostatnie, które dociąga do siebie dwa przesyła utworu, czyli domyka ostatecznie metaforę.

Nowa proza Czeszki jest więc intelektualna, nie narracyjna, nie opisowa. Jest przypowieściowa, nie ilustracyjna. Metaforyczna, nie jednoznaczna. I przez to właśnie jest inna. I przez to tak istotna, bo choć nie opowiada zawiłych, mniej lub więcej typowych, mniej lub więcej ciekawych historii, ale podstawowe tezy ideologii, polityki i psychologii społecznej oświeśla nowym światłem, odkrywając je przez to na nowo, mimo iż są oczywiste. A o to przecież chodzi: nie o wzbogacenie wiedzy faktograficznej, ale o umocnienie i rozwój światopoglądu.

Opowiadania Czeszki pomagają uprzytomnić sobie dość podstawową, choć mocno u nas pokrzywioną zasadę pisarstwa: tę mianowicie, która temat utworu literackiego odróżnia od jego treści. Tematem utworu jest to co zostało w nim opowiedziane, a treścią to co z niego wynika. Identyfikowanie tych dwóch rzeczy doprowadziło do pomieszania kryteriów oceny — zaczęło się właśnie ważenie literatury według jej cech powierzchownych, fabularnych, akcydenalnych. Ten utwór był ważny, w którego fabule występowały wydarzenia ważne dla kraju. Przy tych kryteriach reportaż z Nowej Huty jest ważniejszy niż np. „Trzecia jesień” Dąbrowskiej, o której zresztą Zygmunt Greń w „Życiu Literackim” wyraźnie napisał, że „porusza problem marginalny”. Oczywiście, jeśli się przyjmie, że problemem „Trzeciej jesieni” jest ogrodnictwo. Ale w takim razie problemem „Hamleta” są przykrości sieroctwa, a o opowiadaniach Czeszki nie ma wtedy co gadać, bo najwięcej się w nich mówi o rybach.

Oczywiście ten gatunek pisarski jest chyba najtrudniejszy. Tradycje

Szkice krytyczne Romana Karsta



Zainteresowania Romana Karsta jako krytyka literackiego ogniskują się wokół całości literatury rosyjskiej i niemieckiej, przy czym w obydwu tych dziedzinach dostrzegamy pełną znajomość klasyki i chwalebna skłonność do podejmowania jej zagadnień. W tym właśnie szerzym i wyższym zakresie tematycznym obraca się jego tom „Pisarze i książki”, ogłoszony niedawno nakładem krakowskiego „Wydawnictwa Literackiego” (*). Jest to zbiór ciekawych szkiców, na ogół znanych nam przedtem z publikacji w czasopiśmie, ale częstokroć rozszerzonych i pogłębianych w przystosowaniu do potrzeb książki krytyczno-naukowej.

W związku ze swą tematyką książka ta dzieli się na dwie prawie równe części: rosyjską i niemiecką. W pierwszej znajdujemy studia o Radiszczewie, Gogolu, Lwie Tołstoj, Gorkim, Szolochowie, Aleksym Tołstoj, Ilii Erenburgu, w drugiej — klasyka niemieckiego reprezentowanego studiami o Goethe i Schillerze, a niemiecką literaturę mieszczańską — wybranymi kwestiami z twórczości Gerharta Hauptmanna („Bobrowe turo”) i Tomasza Manna („Czarodziejska Góra”) oraz pełniejszymi rozprawkami o piarstwie Hanryka Manna i Arnolda Zweiga.

Wreszcie zwrócić się „Marks wśród pisarzy” kreśli w głównych zarysach problematykę literacką występującą w dziełach Marksa i opowiada o jego osobistej zażyłości z takimi poetami niemieckimi tamtej epoki jak Heine, Freiligrath, Herwegh i Weerth.

Jeżelibyśmy poszukiwali wspólnego miana dla wszystkich czterech szkiców zawartych w książce Karsta, należałoby tu mówić o głęboko podbudowanym erudyty rozbiórce informacyjnym, w którym autor nie rości sobie pretensji do żadnych błyskotliwych odkryć, lecz pragnie tylko z całą solidnością interpretować zjawiska kultury. Skutkiem tego jest sposób wykładu przeważnie bardziej naukowy niż eseistyczny — literacki. Ale trzeba przyznać, że jest to naukowość lekkostrawna, podająca w

jego są świetne — Maupassant i Czechow! Bardzo trudno stworzyć i wytrzymać napięcie intelektualne między anegdotą a jej przenośnym sensem. Styl pisarza musi być przede wszystkim bardzo giętki, bardzo śmiały, nie zaszkodzi pewna afektacja, pewna dezynwoltura, aby tylko nie wpaść w kabotyństwo. Czeszko nie wszędzie to napięcie wytrzymuje. W „Szeniu balkonowej” naciągnięta metafora wyraża nie pęk — od anegdoty do sensu jest za daleko. Trudno zaliczyć do osiągnięć Polski Ludowej fakt, że się dziewczyna może pokazać nago na balkonie. Nadwężona metafora nadrabia narrator kabotyńskim gestem. W „Noem, czyli przyjaźnym stosunku do ludzi” anegdota również nie dociąga nawet do tytułu. Pytanie „I co z tego?” tym razem nie zostaje opłacone. Rozsypane są także „Opowieści katorżnicze” — za dużo opowiadania, za mało sensu. A w samym opowiadaniu śmieszny trochę „demaskowanie” carskiej Rosji, trochę spóźnione, bo już przed Bohdanem Czeszką robiły to skuteczniej liczne pokolenia brodatych realistów.

Ale obok tych nieudalonych opowiadań oraz innych niecałkiem udanych, jest kilka naprawdę świetnych, wśród których na czoło wybijają się „Kłopoty władzy”: nikt u nas nie napisał jak trudno przejść od wojny do pokoju (i od rewolucji do administracji) zarówno ludziom, którzy walczyli, a teraz mają rządzić, jak i ludziom, którzy cierpieli, a teraz mają ufać. Kto zaś tego problemu nie rozumie, ten nic ze współczesności nie rozumie. Wydaje mi się, że w tym opowiadaniu Czeszko więcej powiedział o współczesności, niż kilkanaście „współczesnych” i „pierwszolinowych” powieści razem wziętych.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga krytyczna: błady i mętne reportaż z zamachu na Café Club oraz ciki felieton o Starym Mieście nie powinny być włączony w skład „Krzewów koralowych”.

Andrzej Kijowski

jasnych zdaniach czytelnikowi sądy poprzędzone niewątpliwie wieloma latami poważnych studiów.

Studia te były nader żmudne szczególnie w odniesieniu do literatury niemieckiej, tu bowiem dotkliwie odczuwamy nie tylko brak nowej, pełnej historii literatury, ale i brak wyczerpującego nasświetlenia czasów najważniejszych: od wystąpienia Goethego po dzień wczorajsz. Praca tak świetnego myśliciela, jakim jest György Lukács, są tylko doniosłymi fragmentami nie napisanego dzieła. Tym bardziej fragmentaryczny charakter noszą powszechnie używane w Niemieckiej Republice Demokratycznej szkolne materiały pomocnicze zawarte w cyklu „Schriftsteller der Gegenwart”.

Toteż Karst jako krytyk wybranych zagadnień z klasyki i z wczorajszej współczesności niemieckiej musiał pokonać nielada pracę, wertując mnóstwo rozsypanych po czasopiśmie opracowań ulamkowych i pracując długo nad samodzielną analizą tekstów, czego dowody raz po raz napotykałyśmy w toku rozważań.

W Niemczech bowiem sytuacja jest bardzo podobna do naszej: nikt nie chce czekać aż nauka o literaturze dostatecznie naświetli poszczególne epoki dawnej i niedawnej przeszłości literackiej. Nikt również nie chce czekać nawet wtedy, gdy nauka o literaturze wcale jeszcze nie zabrała głosu na temat danego zagadnienia historyczno-literackiego. Takie czekanie mogłoby doprowadzić tylko do oderwania się od naszego europejskiego dziedzictwa kulturalnego. U Niemców już od dawna poszedł w przysłowie święty aforyzm Goethego, orzekający, że jeśli ktoś nie umie zdać sobie sprawy z tego, co się dzieło od trzech tysięcy lat, musi — próżnie doświadczeń — pozostać w ciemnościach i żyć z dnia na dzień.

Toteż w zakresie szerzenia i pogłębiania wiedzy o dziedzictwie kulturalnym życie niemieckie idzie naprzód, chociaż nauka o literaturze nie nadąża za jego potrzebami. Młodzież szkolna dostaje do rąk co prawda niedoskonałe, ale nader pożyteczne i z roku na rok coraz lepsze podręczniki, ukazują się w wielkich nakładach dzieła klasyków niemieckich, skomentowane i zaopatrzone w krytyczne wstępy, czytelnik znajduje w pismach literackich artykuły informujące go o doniosłości roli, jaką wielcy pisarze przeszłości odegrali w dziedzinie postępu ludzkiego.

Obserwujemy jednocześnie ciekawe zjawisko, że sami pisarze poświęcają uwagę, czas i myśl wznawianiu klasyków. Nader twórcza okazała się niejedyna piarska próba oceny książek po latach, które upłynęły od pierwszej, szkolnej jeszcze lektury Kłopotka, Lésingga, Heinego, Fontanego czy Kellera. W pięknych essayach literackich o klasykach kilkunajdziesiąt

no cenne jako pokarm dla tak gnuśnie rosnącej uniwersyteckiej historii literatury.

Istnieje zrozumiała tęsknota za rozległą, wyczerpującą, chronologicznie uporządkowaną systematyką dzieł literatury, za dziełem, które by jednocześnie nie zapominało o danych i biografiach, o niezbędnym i pouczającym materiale informacyjnym. Ale na razie sądy o dziedzictwie kulturalnym tworzą się niejako „na wyrwyki”. Przyjmując zobowiązania wobec rzeczywistości rynku wydawniczego, omawia się przede wszystkim to, co się akurat ukazało.

Pomianowskiego doświadczenia z widowni



Mówiono w czasie obrad Zjazdu literatów, że się tak mało mówi o dramacie. Ktoś potem przypomniał, iż rok temu wydana książka Jerzego Pomianowskiego „Z widowni”, która porusza ten temat, również pominięta została milczeniem, choć szybko rozeszła się wśród czytelników.

Jeśli to milczenie jest jednak czymś niesprawiedliwym, to między innymi i tym chyba, że zreferowane tej książki wcale nie jest sprawą łatwą. Ani bowiem jej przedmiot nie jest jednolity, ani zakres zainteresowań jednorodny, ani sam kształt piarski autora zadań sprawozdawcy nie ułatwia. „Z widowni” jest bowiem zbiorem felietonów pisanych w latach 1951—1952 o różnych przedstawieniach i różnych sprawach teatru w owym okresie. Jeśli więc książka ta traktuje i o dramacie, to właściwie o tyle tylko, o ile w ogóle zagadnień teatru nie sposób poruszać w oderwaniu od dramatu; same zaś te zagadnienia oczywiście musiały być w praktyce ruchliwie recenzenta i bystrego felietonisty różnorodne — tak jak je życie teatralne nasuwało, domagając się naświetlenia i odpowiedzi.

Mamy więc tu omówienie przedstawień dzieł dramatycznych polskiej i obcej klasyki, polskich i radzieckich sztuk współczesnych, teoretyczne rozważania o kryteriach ocen i polityce repertuarowej, szkice o Gogolu a także szkice o Francie. Nie było więc głównym celem tej książki ani uchwycenie w szczególności analizy dramatów, ani przenikanie do głębi i wszechstronne badanie tajemnic scenicznych ich realizacji; szło raczej o sygnalizację wielu różnych problemów, spraw i wątpliwości w ich związkach ze zdarzeniami aktualnie obecnymi w pamięci teatralnych widzów. Skoro jednak wiele z tych zdarzeń po latach wyветриło już z pamięci — potoczny i gładki, lecz nieco zbyt kunsztowny i bardzo aluzyjny styl felietonów Pomianowskiego nie przyczynia się do ułatwienia lektury jego książki.

Można się o tym przekonać zwłaszcza wówczas, gdy się porówna te przede wszystkim felietony, w których autor więcej niż gdzie indziej miejsca poświęca analizie tekstu i jego interpretacji scenicznej. Oto szkice o Gribojedowie w Teatrze Polskim. Mowa tu najpierw o trwałych wartościach arcydzieła satyry, o biografii Gribojedowa, o dziejach jego komedii, wreszcie o jej głównych walorach; potem przechodzi się do omówienia pracy reżysera, aktorów, scenografii i tłumacza. Szkic zaplanowany jest więc sumiennie, wszechstronnie, poważnie. Jednakże mimo autorskiego zapewnienia, że omawiane przedstawienie ma ogromne zalety i jest wielką zasługą teatru — pozostaje czytelnikowi wrażenie (właśnie wrażenie), iż koniec końców wcale tak nie jest, iż błędy reżysera i najznakomitszych aktorów są bardzo poważne, a nawet tułwimowski przekład nie jest zadowalający. Taki jest efekt (nie wiem: zamierzony czy mimowolny) przyjętej przez Pomianowskiego stylistyki.

A oto inny felieton, tym razem o „Ruchomych piaskach”. Obszerna analiza przeprowadzona tu przez Pomianowskiego ma charakter polemiki z Waławem Kubackim i opiera się na interesującym pomysłach polegającym na zestawieniu „Ruchomych piasków” z „Lekkomyślną siostrą”. Jednakże sens tego pomysłu gubi się w wywodach, które albo są rzeczywiście pomyłką, albo brak przekonującej siły zawiadzają znowu nie dość jasnym, nie dość prostym stylowi, którym posługuje się Pomianowski.

Ala — na koniec — trzeci felieton: O sztuce Roger Vaillanda „Pulkownik Foster przyznaje się do winy”, felieton świetny, zwarty, zwięzły, pisany z ogniem, skomponowany naturalnie i bez ozdobić. Tutaj analiza ideowej i artystycznej wartości charakterystyki głównego bohatera sztuki, obrona

Książka Karsta pozostaje w ścisłym związku z tą sytuacją współczesnego literaturoznawstwa niemieckiego. I ona formułuje sądy „na wyrwyki”, zabiera głos w sprawie bieżących wydań czołowych dzieł literatury niemieckiej po polsku. Gromadzi w ten sposób materiał poznawczy, który w swej przeważającej masie będzie z pewnością cenny po obu stronach Odry i Nysy dla przyszłego organizatora systematycznej myśli o dziejach rozwoju literatury niemieckiej na tle dzieł społeczno-politycznych ojczyzny Goethego.

Adolf Sowiński

jej przeciw naiwnym czy wulgaryzującym sprawę krytykom i recenzentom, jest nie tylko w pełni zrozumiała, jest nie tylko zwięzła i nie nudna — jest ponadto w pełni przekonująca.

Tak jak ten felieton powinna być napisana cała książka Pomianowskiego.

Kiedy się jednak przeskoczy wreszcie przeszkody przez samego autora zastawione na czytelników, kiedy się człowiek przyzwyczai do zbyt wytwornej stylistyki i opamięta — usprawiedliwiona przecież — niejednolitość przedmiotu, różnorodność tematów — wówczas okaza się, że omawiany zbiór artykułów łączy w niewątpliwą całość intelektualną pewną konsekwentną i nieodmiennie na kartach książki ujmującą się postawą jej autora.

Otoż jest rzeczka charakterystyczna, że „Z widowni” zaczyna się od protestu przeciw szmirze, od wywodu jej politycznej szkodliwości, od wezwania do braku tolerancji wobec tego, co Rosjanie nazywają „poszłości”. Przewijając się od pierwszej do ostatniej strony sprawą ta w książce Pomianowskiego zyskuje coraz to nowe oświetlenie.

Najpierw idzie po prostu o to, aby „nie starano się z pomocą szmiry zaspokajać potrzeby lekkiego, wesołego repertuaru”. Niebawem jednak autor przypuszcza zdecydowany atak na samą istotę popełnianych błędów: występuje z całym aparatem uzasadnień przeciw wulgaryzacji pojęcia roli śmiechu i humoru i to nie tylko in abstracto, w modnym ongiś sformułowaniu, że „wrog śmiechu przestaje być groźny”, ale i w praktyce aktorskiej, zwłaszcza gdy idzie o interpretację sceniczną humoru Fredry.

Od tej sprawy jeden już krok do dalszej, do tępienia błędów polegających na tolerowaniu wszelkiej słabizny, „byłe zaczęły w intencjach”.

Sprawa ta w książce Pomianowskiego występuje w dwójki postaci. Pierwsza dotyczy klasyki, druga — sztuk współczesnych.

Jeśli idzie o klasykę, to Pomianowski żąda nie tylko „śmiałości i szerokości zamierzeń” repertuarowych w tej dziedzinie; idzie mu również — i to szczególnie — o tępienie wszelkiej uproszczonej, zwulgaryzowanej, przesadzonej, bo niewystarczającej popartej znajomością rzeczy, reżyserkiej interpretacji dramatycznych dzieł dawnych; i to nie tylko tej, która nie dostrzega krytycznych, satyrycznych, w konkretnych zjawiskach klasowej wymierzonej akcentów, ale i tej, która realistycznie i klasową wykładnię buduje na fałszywych, naciąganych przesłankach.

Jeśli idzie o sztuki współczesne, to atak skierowuje Pomianowski przede wszystkim przeciw uproszczonemu pojmowaniu samej „współczesności” sztuk teatralnych; jego zdaniem nie jest to sprawa tematu, lecz problemu i dramatu historyczny — jeśli nie jest ilustracją lecz wielką metaforą — może mieć także pełny walor współczesności; więc nawet: „... każda pozycja repertuarowa — pisze Pomianowski — zarówno współczesna jak klasyczna na stać się może aktem czynnej walki o nową świadomość widza”, nie trzeba jednak przypuszczać jakoby Pomianowski nie dostrzegał wagi i znaczenia sztuk teatralnych, dotyczących się bezpośrednio naszego, aktualnego, dzisiejszego życia, Przeciwnie.

W jednym z felietonów przeprowadza on porównanie pracy dwu teatrów nad tekstami dwu sztuk współczesnych, aby wykazać jak ważnym czynnikiem zachęty do podejmowania przez dramaturgów dzieł dramatycznych o tematyce dniom naszym najbliższej jest stosunek teatru, styl reżyserkiej pracy nad tymi dziełami. Nie idzie tu o wyrażanie autora, ale o wszechstronną pomoc okadzaną przy adaptacji tekstu, obsadzeniu ról, inscenizacji; taka pomoc — twierdzi Pomianowski — jest najniebezpieczna.

Główne kierunki ataku, który Pomianowski przeprowadza w swojej książce, wywodzą się z przekonania, że „...zadaniem teatru jest bezwzględne tępienie bezideowości i szmiry zarówno w dziedzinie repertuaru, jak gry aktorskiej i scenografii”. Pomianowski jest bowiem zdania, że „socjalizm to koniunktura dla dobrego piarstwa”, a więc dla sztuki wielkiej, dla teatru wysokich wartości, celem zaś działalności krytyki teatralnej winna być walka o zrozumienie prawdziwego sensu realizmu socjalistycznego.

Jerzy Adamski

*) Roman Karst: *Pisarze i książki*. Szkice z literatury rosyjskiej i niemieckiej. Str. 235. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1953.

*) Jerzy Pomianowski: *Z widowni*. Rysunki Anny Rebeczy, str. 259. Czytelnik, 1953.



Głowa chłopca



Z cyklu: Warszawa 1945



Nad Dunajcem



Manifestacja żałobna przy grobie bohaterki Lin Houna

Tadeusz Kulisiewicz

Na Międzynarodowej Wystawie Plastyków w Wenecji przyznano nagrodę UNESCO artyście polskiemu Tadeuszowi Kulisiewiczowi.



Macierzyństwo

Z MIEJSC STOJĄCYCH

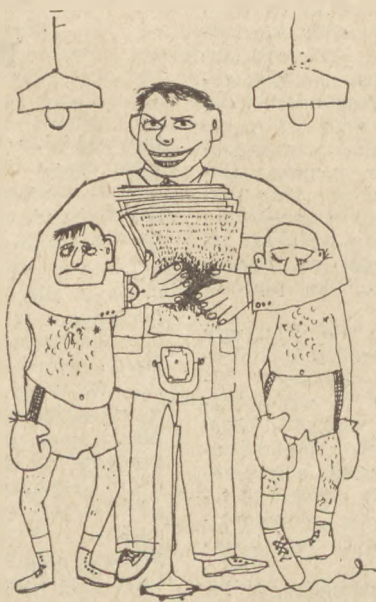
Rozmyślania pedagogiczne

Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację: hala sportowa wypełniona po brzegi widzami, którzy pokonali tysiące trudności, aby zdobyć bilet i dostać się tutaj. Nastrój wyraźnie niecodzienny. Za chwilę rozpocznie się międzynarodowy mecz bok- serski. Orkiestra wojskowa próbuje trąb, spóźnieni widzowie szukają miejsc na gzymsach okien, organizatorzy biegają rozpaczliwie wokół ringu, ktoś krzyczy rozstrzęsionym głosem do sąsiada: — proszę zdjąć kapelusz, bo nic nie widzę. A wszyscy denerwują się porażeni nagłą obawą o swoich ulubieńców: — Kukier podobno w słabej formie... Przeciwnik Drogosza ma silny cios, o rany... Wreszcie obie drużyny weszły na ring. Jest i Kukier — ludzie, jak mizernie wygląda!... A Drogosz — prawie dziecko... Stroskani widzowie zaciskają z rozpaczą palce: niech by już się w końcu zaczęło.

Ale oto na ring gramoli się zażywny działacz i wydobywszy z kieszeni sporą ryzę papieru rozpoczyna mowę. Pozdrowia zawodników — to dobrze, klaszczemy, ile wlezie. Już za chwilę pierwsza walka.

Gdzie tam. Działacz szeleści kilogramami papieru i stękając duka z wysiłkiem historie naszej sławnej ojczyzny: że feudalizm, że kapitalizm, że walka ludu. Skrupulatnie opisuje przebieg drugiej wojny światowej, przypomina chwile wyzwolenia i trud zagospodarowania Ziemi Zachodnich.

Słońce przebyło spory kawał drogi po niebie. Kukier stania się ze zmęczenia. A działacz wymie-



Rys. Lech Zahorski

nia nasze budowle: obliczył już ilość cementu, żwiru i desek. Opowiedziałby pewnie i o sobie: jak żyje, ile ma działek, czy dostaje premie, ale to nie wypada, więc męczy widzów sprawami społecznymi, o których nic ciekawego nie ma do zakomunikowania.

Na widowni rośnie zniecierpliwienie. Hala sportowa huca coraz potężniejszym gwarem. Już nic nie słychać. Widzimy tylko spoczone oblicze działacza i otwarte gorliwie usta.

Podobnie zdarza się i w literaturze. Strudzony autor niesie swoje dziełko do wydawnictwa. Pisał je długo: zbierał materiały, rozmawiał z ludźmi, myślał, próbował tak i inaczej. Ale rzeczywistość literacka rozpocznie się dopiero teraz, w wydawnictwie. Każą mu ten wątek usunąć, tamten przebudować, tu przeinaczyć sens myślowy, ówdzie odwrócić do góry nogami. Po prostu tutaj, w schłodzonych murach redakcji rozpoczyna się i kończy żmudny proces wychowywania autora.

A przecież mamy sporo czasu na wychowywanie się, nie musimy tego procesu komasować na ostatnią chwilę. Widzowie sportowi, a wśród nich i skromny autor, żyją przecież w Polsce Ludowej. Pracują w instytucjach społecznych, czytają gazety, chodzą do szkół i na szkolenie, podlegają procesom społecznym zachodzącym w naszym kraju, dojrzejewają razem ze swoim narodem.

Więc po co wychowywać się w chwilach nieodpowiednich?

Tadeusz Konwicki

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Kłopoty potomków

Nie jestem zwolennikiem zbyt- nych poświęceń na rzecz przyszłych pokoleń. Myślę jednak, że w pewnej drobnej sprawie należałoby pójść im na rękę, szczególnie, że chodzi tu, jak to zaraz wykaże, o nasz własny interes. Zaczniemy od „gdymy”; gdyby więc dziś wpadł komuś do głowy pomysł nakręcenia filmu o Warszawie czasów Prusa lub, powiedzmy, myśli o adaptowaniu „Lalki” (uż- dzie, że w okresie, kiedy moda na prusowskie adaptacje sceniczne staje się manią, nikt z filmowców nie chwycił się za coś podobnego) człowiek ten zapoznawszy się choćby powierzchownie poczułby się jednym z najszcześliwszych mieszkańców naszego globu. No bo proszę: chce charakterystyki obyczajów, opisu drobnych zdarzeń, anegdot — pan Prus oferuje mu kilkadziesiąt pięknych tomów swoich kronik, zasy- pają go sztambuchy i gazetowe „michałki”, które jeszcze przez długie lata zasilać mogą „przekrojowe” wiadomości z myszką; chce materiału ikonograficznego — zjawia się pan Kostrzewski z niezliczoną ilością szkiców, scenek, obrazków, wraz z nim gromada pomniejszych rysowników nie mówiąc już o malarzach w rodzaju Gierzyńskiego, nie mówiąc wreszcie o dagerotypistach. Szczęśliwy twórca tonie po prostu wśród masy materiałów, żywych, bliskotliwych, licytujących się swoją ciekawością.

A teraz gdyby ktoś zechciał za lat sto zrobić film o Warszawie z naszych czasów, bo przecież epoka to ucale ciekawa, mało, epoka, o której już dziś wiadomo, że zaciąży, może nie tylko z uwagi na swoich artystów, ale zaciąży na przyszłych czasach bardziej niż czasy Prusa ciąży na nas. Gdyby zechciał... Strach wyobrazić sobie, jakie przechodziłyby katusze i jak, koniec końców, marne by stworzył dzieło, jakby nas pokazał! Jak? Można to sobie z grubszą wyobraźnią: chodźlibyśmy wszyscy w kombinizonach jak na rysunkach pozytywów — satyrycznych po bluszczących ulicach widzianych z lotu ptaka jak w albumie „Plan 6-letni odbudowy Warszawy” lub wisielibyśmy na rusztowaniach i gigantycznych cylindrach budowli jak na afirmatywno-heroicznych fotografiach z tygodników ilustrowanych. Można by nas również zastać niekiedy w chlewniach o tysiącu świń, w mieszkaniu rzadko, i to też tylko upozowanych na tle nowego radia marki „Pionier” i mebli na raty z MHD. Nikt nie poznałby naszych drobnych, lecz własnych obyczajów, umknęłoby to wszystko, co składa się na atmosferę, prawdę i malowniczość naszego powszedniego życia. Recenzentowi, który za sto lat pisalby o takim filmie, zabraniam jednak zarzucać reżyserowi ubóstwo obserwacji. Napisać raczej, kolego, że ci faceci z połowy zeszłego wieku sami sobie są winni.

„Jak cię widzą, tak cię piszą” — mówi przysłowie, ale o nas będą pisać i mówić tak, jak nie widzą. Tak jak sami siebie nie widzimy, choć oglądamy codziennie.

Istnieje taka prosta, potwierdzana przez dzieje prawidłowość w historii sztuki, że na początku wielkich okresów rozwoju realizmu następuje obumieranie tematów wymyślonych, mitologicznych i akademickich, a rozwój tematów rodzajowych. Gromadzi się masa spostrzeżeń, czasem niemrawych, czasem naturalistycznych i z tej masy powstaje później wielka epicka synteza. Żeby nie odbiegać z przykładami zbyt daleko, przypomnę tu jedynie początki filmu włoskiego czy też wyraźne zarodki neorealizmu w szkołach filmowej w Japonii, jeszcze nieporadne, ale już nasycone tą masą spostrzeżeń niezbędną dla późniejszych syntez (nawiasem mówiąc przysiliłbyśmy bardzo o te japońskie pierwiastki na naszych ekranach). U nas tymczasem bój o realizm nie od dziś rozbrzmiewa hucznymi palbami, a owej rodzajowej obserwacji ciągle jeszcze za mało, sprawa ciągle sprowadza się do kilku — wprawdzie rzetelnych — pozycji literackich i na nich się kończy. Milczy natomiast grafika (nie mówiąc już o malarstwie), która co prawda dostarczała nam wielu bezpośrednich obserwacji z Chin i Wietnamu, ale żadnej prawie z Woli nie mówiąc już o Końskich; milczy fotografia, która, poza paroma wyjątkami zakuwa nas w marmur „bajecznych” wędulujących perspektyw lub omotuje w zawile stalowe konstrukcje (na wielki plus fotografii zaliczyć trzeba niedawno obserwację z przystanku autobusowego, które przekazał nam W. Sławny w „Świecie”, jeśli oczywiście będzie to początek dalszych prac w tym kierunku, niewiele dają nawet

gazety. Z gazetami to w ogóle ciekawa sprawa. Jak każdy piśmienny obywatel czytując codziennie gazetę, i owszem, dowiadując się z nich wiele, ale widzę, wyobrażam sobie mało. Wiem, że tu czy ówdzie zdarzył się taki lub inny fakt, ale tego faktu nie widzę. A przecież fakt gazetowy chciałoby się „zobaczyć” i jest to całkiem wykonalne.

Oto przykład: mała dziennikarska notka o tym, jak manifestanci w Paryżu poturbowali wojowników eks-mezów stanu Lanieli i Plevena. Było w tej notce takie m. in. zdanie (cytuję z pamięci): „Jak podaje prasa francuska policja przez 20 minut nie mogła dostać się do toczącego przez tłum ministra Plevena. Kiedy wreszcie udało się rozsunąć tłum minister był bardzo blady i miał w ręku pomietty kapelusz”. Czy „widzicie” ten obraz? Czy wiecie, wyobrażacie sobie co przez te 20 minut działo się między tłumem a panem ministrem? Jaka szkoda jednak, że ten sugestywny i wiele przecież mówiący obraz podala francuska, a nie nasza prasa!

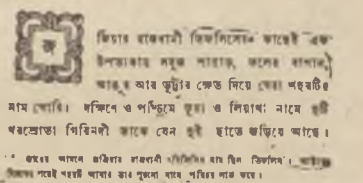
Może stawiam tu postulaty zbyt wygórowane, może też poruszam sprawę błahą, nie wartą uwagi wobec innych, ważniejszych? Wydaje mi się — chyba przecież podzwrotnikowe warszawskie upały nie wpłynęły aż tak niszcząco na moje myślenie! — że ani jedno, ani drugie. Sprawa jest ważna dlatego, że jest elementarna, podstawowa dla rozwoju sztuki realistycznej w naszym kraju, sztuki realistycznej, która jest przecież w pierwszym rzędzie sztuką patrzenia nie w sufit, ale dookoła siebie, sztuką patrzenia na życie; i sprawa jest, musi być wykonalna, jeśli nie jest bajką to wszystko co mówimy na zjazdach i konferencjach o realizmie.

W XVII wieku żył, jak podają podręczniki, pewien teoretyk malarstwa, który napisał głośne i bardzo rygorystyczne dzieło o sztukach plastycznych nie widząc w życiu ani jednego obrazu, był bowiem od dzieciństwa ślepcem. Rozgłos jaki zdobył w swojej epoce minął dość szybko — musiał ustąpić miejsca tym, którzy mogli i umieli patrzeć. W tej prawdziwej historii zawarta jest niewątpliwa historyczna prawidłowość.

Krzysztof T. Toeplitz

POLONICA

„Soso” w języku bengalskim



W Kalkucie ukazała się książka Heleny Bobińskiej „Soso” w języku bengalskim. Przekładu dokonali Marta Malicka — Guha i Ranjit Guha.

O książce Centkiewiczów

W miesięczniku radzieckim „Wokrug swiata” poświęconym zagadnieniom popularyzacji geografii ukazała się w nr 5 z b. r. recenzja znanej książki pisarzy polskich Aliny i Czesława Centkiewiczów: „Na podbój Arktyki”. W obszernym omówieniu recenzent W. Kuźniec informuje dokładnie czytelnika radzieckiego o treści obu tomów książki i jej układzie materiałowym. Autor recenzji jest doskonale obznajmiony z twórczością naukową i literacką Centkiewiczów, i w trakcie omawiania „Podbój Arktyki” wymienia i powołuje się na inne prace naszych popularnych pisarzy. W konkluzji swej wypowiedzi W. Kuźniec daje taką ocenę omawianej pracy Centkiewiczów: „Dzielo Aliny i Czesława Centkiewiczów przedstawia ogromny i cenny materiał poznawczy. Książka przeznaczona dla czytelnika masowego napisana jest prosto i zajmująco, stanowi doskonałą lekturę”.

KOMUNIKAT

Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk przygotowuje zbiorowe wydanie korespondencji Marii Konopnickiej, zwraca się więc do wszystkich osób i instytucji posiadających listy M. Konopnickiej, znających poetkę lub mających o niej nieznane informacje z uprzejmą prośbą o komunikowanie ich pod adresem Instytutu, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 7. 3782-1